

Niewielki szpital dla nerwowo i psychicznie chorych w jednym z głównych miast polskich zbudowano po wojnie. Architekt stworzył budynek w modnym wtedy stylu pawilonowym, podobnym do dzieł realnego socjalizmu i modernistycznych sanatoriów.

Po wejściu szło się długim korytarzem, na którego obu bocznych ścianach zawieszono amatorskie obrazy malarskie pacjentów. Od korytarza co kilka metrów odchodziły drzwi do jadalni, sali gimnastycznej ze stołem pingpongowym, pokoju telewizyjnego, skąd można było przez kolejne drzwi balkonowe wyjść na niewielki ogródek. To tam właśnie wypróbowałem terapii zapomnianej, ale znanej na wschodzie - chodzenie bosymi stopami po ostrej trawie i żwirze. Stymulacja stóp podnosiła humor, mile łaskotała i ogólnie powodowała relaks.

Ale zanim to się stało nastąpił najpierw dzień 19 czerwca 2007 roku, który zapisał się w Polsce szalejącymi służbami specjalnymi, pokazowymi procesami i konferencjami policji i prokuratury, która dobierała się do skóry biznesmenom, rzekomo spotykającymi się w warszawskim "Mariocie" na wysokim piętrze w celu omówienia domniemanych ciemnych interesów partyjno-politycznych. Samo wrażenie z oglądania telewizji musiało być mocno pobudzające wyobraźnię pacjentów, skoro zamiast czytać w wolnych chwilach, których tu w tym miejscu nie brakowało, klasykę, woleli śledzić co się dzieje w Polsce.

Przywieziono mnie tutaj, do tego parterowego pawilonu w stanie odbiegającym według lekarzy mocno od normy. W głowie huczało od tysiąca pomysłów. Samochód, którym jechałem przez Ostrów Wielkopolski, słynny Jarocin, Pleszew, a wcześniej coraz bardziej czysty Śląsk, w połowie z nieczynnymi kominami i zamykanymi z cicha pęk kopalniami, został pod bankiem PeKaO nieopodal kościoła ojców dominikanów. To tam dostałem poranną strawę od sympatycznej dziewczyny na polecenie samego ojca Jana Góry, twórcę lednickich spotkań młodzieżowych. Gdy tylko zjadłem podane kromki chleba, zgasły wszystkie światła, a ja poprosiłem, czy bym nie mógł się nieco zdrzemnąć po całonocnej aktywności z pogranicza parapsychologii, mistyki i paranoi.

Jakieś sto kilometrów przed Poznaniem, przenocowałem w jednym w tych podejrzanych zajazdów przydrożnych o nazwie "Sobótka". Prosiłem o pokój jednoosobowy, ale gdy tylko wszedłem do niego, okazało się, że stoją tam dwa łóżka, co wydało mi się dziwne. Włączyłem telewizor i próbowałem zrozumieć, co nadają: spikerzy zwracali się prosto do mnie, podawali instrukcje, co dalej robić, a ja nie mogąc zasnąć postanowiłem dalej odczytywać tajne instrukcje, jakie do mnie nadawano.

Najpierw wyjrzałem jednak za okno. Ujrzałem poświatę księżycy w pełni, ale żaden pies nie był podnosząc łeb wysoko ponad siebie. Rozejrzałem się. Wokół słychać było tylko świerszcze, a w trawie chyba dojrzałem mały, świetlisty punkcik, zapewne robaczek świętojański. Za kilka nocy miała być noc świętojańska, a dziwnie zajazd nazywał się, jak rzekłem, "Sobótka". Naraz zrobiło się nieswojo: to podwójne łóżko, zupełnie niepotrzebne dla kawalera, który zabłąkał się tutaj, zmierzając z Krakowa trasą 11 na Szczecin, przez coraz bardziej zadbane i rekultywowany Śląsk. Pejzaże śląskie działały mocno na nieświadomość, przypominając fascynacje industrialne dzieciństwa, te wszystkie ceglane budynki z zawsze powybijanymi szybami, wysokimi kominami, i setkami różnych zewnętrznych urządzeń, rur, pomostów, nie wiadomo, do czego służących.

Jednak teraz to wszystko mniej się liczyło. Byłem zamknięty w szpitalu pawilonowym. Odebrano mi wszystkie ostre przedmioty. Musiałem oddać klucze od domu, kluczyki od malucha, który został pod do-

minikanami, skąd po zjedzonym śniadaniu i awarii prądu elektrycznego wyszedłem na ulicę i dostałem paniki. Serce waliło chyba ze sto sześćdziesiąt, zrobiło mi się duszno, co wzmagał jeszcze czerwcowy upał, zapowiadający niedługie wakacje, które miałem spędzić u stryjka blisko morza. Zamienił stryjek siekierkę na kijek - to wiedziałem, ale teraz już zdawałem sobie sprawę, że do tej podróży nieco źle się przygotowałem: jedynie stówka w portfelu, na koncie pusto, bankomat nie wypłacał przesyłanej międzyczasie gotówki od ojca, a ja kompletnie nie znając miasta, spanikowałem. Duszność, jakbym zaraz miał dostać zawału i zejść, robiąc zamieszanie na pełnej ludzi ulicy. Niewiele myśląc, znając ten stan, wydostałem z prawej kieszeni dzinsów komórkę i wykręciłem numer 112. Po paru sekundach po drugiej stronie linii odezwał się miły, aksamitny głos kobiecy: - Tu pogotowie ratunkowe, proszę mówić. - Jestem pod kościołem dominikanów, zgubiłem się, mam duszność. - Choruje Pan na coś? - spytała rzeczowym głosem. - Schizofrenia paranoidalna, leczę się od siedmiu lat. - Niech Pan nie odchodzi z miejsca, gdzie pan się znajduje. Wysyłam zespół. - i rozłączyła się. Schowałem komórkę do kieszeni, i stałem nieruchomo, ale uwaga moja była czujna, widziałem dziwne uśmiechy. Naraz do przejścia dla pieszych podeszła ta dziewczyna, która zrobiła mi piętnaście minut temu skromne śniadanie, a po zgaszeniu prądu powiedziałem jej, żeby uważała, manipulując przy bezpiecznikach za wielką tablicą z przełącznikami. Popatrzyła z ukosa w moją stronę, poznała mnie i nagle jej twarz się zmieniła: zaśmiała się złośliwie, jej rysy przybrały nieco diaboliczny wygląd, zdało się, jakby zrozumiała, że w klasztorze dominikanów goszczono szaleńca.

Po kilku minutach, może trzech, najwyżej pięciu na róg Kościuszki i Lindego podjechał ambulans, zamachałem, zatrzymali się, i od razu otworzono boczne drzwi, ktoś wysiadł, wziął mnie pod ramię, potem wszedłem do środka, a drzwi zamknięto, zaś karetka skręciła na skrzyżowaniu obok bankomatu w prawo, w Kościuszki, mignął mi mój czerwony, zaparkowany pod bankiem mały fiat, i potem już nie pamiętam. Jechaliśmy bez sygnалу, kierowca sprawnie skręcał to w lewo, to w prawo, jechałem w nieznane.

Po paru minutach, choć czas zdawał się dzielić na milisekundy, prawie stając w miejscu, karetka zajeżdżała przed szlaban, otwarto go natychmiast, i wjechaliśmy na teren szpitala, parkując pod zadaszeniem. Wysiadłem podtrzymywany przez sanitariusza, który otworzył drzwi do wejścia na teren kliniki. Kątem oka dostrzegłem biały napis na czerwonym tle: Szpital Neuropsychiatryczny w Poznaniu, ul. Szpitalna 27.

Kiedy to wszystko opowiedziałem siedzącej naprzeciw kobiecie w wieku trudnym do określenia, ta skończyła notować i powiedziała, że teraz odprowadzą mnie do sutereny, gdzie oddam do depozytu osobiste rzeczy, wskoczę w pidżamę szpitalną, a potem udam się do sali chorych. Tak też się stało, a trwało może dziesięć minut. Leżałem teraz na łóżku, zmęczony nieudaną podróżą przez kraj, bezsenną nocą w "Sobótce", brakiem gotówki na porządny posiłek i stresem z powodu obcości w nieznanym mieście, gdzie żadnych znajomych, nikogo z krewnych ani przyjaciół.

Zasnąłem, ale wcześniej patrzyłem przez okno na zieleń, parkan, za którym jeździły karetki na sygnale. Moje wyostrzone zmysły dziwnie pracowały - widziałem bardziej soczyste drzewa niż zwykle, a dźwięki ambulansów wbijały się niczym ciernie w mózg, który postanowił zacząć pracować na zupełnie nieznanych częstotliwościach. Było południe. Spałem śniąc jak zwykle przeszłość. Obudziłem się krótko przed piątą, w sam raz na kolację. Po przyjęciu dostałem silny środek uspokajający, który zmuślił mnie i uśpił na całe popołudnie. Zbliżał się wieczór, a dzień chylił się ku zachodowi. Jednak żaden nieznajomy się nie przyłączył do tej wędrówki w przestrzeni i także w pewnym sensie w czasie, nie pytał, cóż to się stało, o czym tak myślę non-stop i czemu jestem właśnie w początkach XX stulecia, w pięknej belle epoque, nie znającej wojen światowych, kiedy wszystko, co najlepsze było jeszcze realne. Dziś zamknięty w czterech

ścianach, pomalowanych na ciemną zieleń, w których z pewnością umieszczono niewidoczne mikrofony, czułem się uratowany, a jednocześnie znużony tym wszystkim, co się działo od zaledwie dwudziestu czterech godzin. Nie mogłem uwierzyć, że ta podróż tak się skończyła. Ale nie wiedziałem, że tak naprawdę ona się dopiero rozpoczyna...

Noc zapadła głucha nad całym szpitalem i tylko szum drzew był słyszalny poprzez szczelnie zamknięte i okratowane okno w sali nr 37. Nie wiedziałem, co dalej. Przewracałem się z boku na bok. Pacjent obok nucił jakąś religijną pieśń pod nosem. W innych salach powoli gaszono światła. Jedynie w korytarzu zostały zapalone, będą się świecić aż do rana. Pacjenci byli spokojni, dostawali wszak końskie dawki przeciwpsychotyków. Pielęgniarki odeszły do swojej dyżurki i żywo o czymś dyskutowały. Telewizor w jadalnym oglądało kilku pacjentów, którzy byli w lepszym stanie. Można było odnieść wrażenie, że jesteśmy w sanatorium, a nie zamkniętym oddziale obserwacyjnym. Jednak nie było to sanatorium, bo panował ostry rygor, prawie jak w więzieniu.

Chciałem coś napisać, ale nie miałem laptopa, ani kartki, o piórze nie mówiąc. Czytać mi się nie chciało, zresztą sala terapii zajęciowej, gdzie stała mała biblioteczka była zamknięta na noc. Znużenie, zwane objawami negatywnymi, odbierało resztki sił witalnych. Kolacja już dawno strawiona. Przez okno dostawała się poświata ulicznych latarni. Zdawało mi się, że naprawdę czas cofnął się do Młodej Polski, że po ulicach jeżdżą dorożki z panami w ciemnych kapeluszach, a panie noszą parasolki i wachlarze. Jeszcze moment, a dostrzegłbym stróża nocnego, który zapala gazowe latarnie, albo jeszcze te wcześniejsze na płomień. Jednak zdrowa część mego umysłu kazała trwać w pogotowiu. Jeszcze nie wiedziałem, co dalej. Jeszcze znużenie odbierało siły. Postanowiłem wyjść z łóżka, rozprostować kości. Tak też zrobiłem. Ostrożnie, aby nie zbudzić drzemiącego pacjenta, który nucił "Matko Najświętsza, do serca twego", wyglądnałem na korytarz, a tam pusto. Pacjenci spod 34 grali w karty, w następnej sali jedli pizzę, którą dostawca przywiózł, przechodząc przez dziurę w płocie. Nieco dalej była palarnia, więc się tam udałem. Nie miałem wiele papierosów, ale kilka zostało z podróży przez Polskę. Wewnątrz nikogo nie było. Stałem koło okna, za którym rozciągał się ogród. Papieros świecił jak punkcik na niebie pomarańczowym ognikiem. Usiadłem na krześle. Postanowiłem, że czasu spędzonego tutaj nie zmarnuję. Zamyśliłem się. Nie wiedziałem, co dalej...

Poznanie szalało w środku, jak burza w szklance. Kłębiły się obrazy z chorej pamięci, zapiekłe emocje i strach przed stwórcą wszechrzeczy. Pierwszej nocy nie zmrużyłem nawet oczu. Wciąż rozmyślałem o nieudanej wyprawie wakacyjnej. Miałem dojechać prawie aż nad Bałtyk, gdzie czuję się najlepiej, a los chciał inaczej. Przeznaczenie rzuciło mnie tu, do tego nawiedzonego szpitala, władowali we mnie końską dawkę przeciwpsychotyków, żebym był bardziej "normalny". Cóż to w ogóle znaczy? Każdy jest inny, pisana nam jest odmienna droga, nigdzie i nigdy się nie kończąca. Jeśli bym chciał, mógłbym uciec. To nie takie trudne. Wystarczyłoby wykorzystać chwilę nieuwagi stewardesy i tyle by mnie widzieli. Ale nie miałem dokąd pójść. Skazany na te kilkaset metrów kwadratowych, musiałem swoje odsiedzieć.

Rano obudzili nas na mierzenie ciśnienia. Potem niektórzy poszli na poranną gimnastykę, inni do łazienki na poranną toaletę, wydano im na chwilę maszynki do golenia, taki zwykły rytuał, bo połowa nie miała ani krztyny zarostu. Ja przewalałem się z kąta w kąt. Nigdzie z niepokoju nie mogłem usiedzieć. Risperidon, silny lek przeciwpsychotyczny, już działał. 33333Skutki uboczne dawał straszne. Trzęsła mi się ręka, nogi same chciały ponieść w siną dal. I tak w stałym ruchu, ani chwili spokoju. Tak to jest z ty-

mi lekami. Energia psychotyczna, którą tłumią, musi zgodnie z prawem zachowania energii, gdzieś przejść, bo zniknąć nie może. Idzie więc w nogi.

Potem było śniadanie, skromne, bardziej niż skromne. Dwie ledwie pomazane masłem i dżemem kromki jasnego pieczywa, kubek "herbaty", która była nią jedynie z nazwy. Leki wydawano w kolejce, w której wszyscy stali, jak do komunii. Kiedy przysłała moja kolej, poznałem tę cholerną tabletkę i musiałem się przemóc, aby ją połknąć. Przez chwilę miałem ochotę ukryć ją pod język - stary numer szpitalny - ale pewnie by się nie udało: stewardesa kazała pokazać język i sprawdzała, czy zażyłem. Zaczynał się czas wolny. Pusty dzień.

Pielęgniarka weszła do sali 34 i wywołała mnie, każąc pójść za sobą. "Co, na elektrowstrząsy mnie biorą czy co...?" - mignęło przez myśl, ale zaraz uznałem to za niedorzeczne. Często słyszę w głowie "głosy". Najczęściej mnie obrażają, dyskutują ze mną albo komentują moje decyzje. Tym razem jednak działał risperidon, więc tafla jeziora się wygładziła po wielkiej burzy, która przeszła nad moją głową. Szliśmy długim korytarzem, aż wskazała mi drzwi, otworzyła je i przepuściła przodem, a potem zamknęła i odeszła.

Ujrzałem wielki stół, wokół niego zaś tłum siedzących ludzi. Niektórzy byli młodzi, zapewne stażyści, inni nieco starsi, ale średnia wieku była niska. Po lewej siedział Profesor, w okularach i krótko ostrzyżony, już posiwiwały. Usiadłem na wolnym krześle, stojącym na środku. Poczułem się nieswojo. Zawsze w grupie tak się czuję. Nie znoszę tłumów, omijam zbiorowiska ludzkie, nie spaceruję głównymi promenadami miasta, przemykam gdzieś bocznymi, cichymi uliczkami. Profesor zaczął pierwszy. Spytał, jak się nazywam, ile mam lat, od kiedy się leczę, jakie leki zażywałem i jakie mam wykształcenie. Nie zapomniał wypytać mnie, jak się czuję i jakie objawy miałem w przeszłości. Zacząłem ubogą przemowę, jakby kazanie czy wykład uniwersytecki. Mówiłem, że źle mi się myśli, emocje są blade, a afekt spłycony. Poza tym dręczą natrętne myśli, mam depresję i że nic nie ma sensu. To, czym wszyscy żyją kompletnie mnie nie interesuje. Ludzie zajmują się głupotami, marnują życie, nie mają wielkich celów ani misji, nie wierzą w zadanie, jakie tylko oni mogą wykonać. Żyją od pierwszego do ostatniego, biorą kredyty, łapówki i chcą tylko przetrwać i oczywiście spłodzić potomstwo. Tak mniej więcej przemawiałem, a oczy wszystkich wbijały się we mnie, jak ciernie w głowę Chrystusa. Potem nastąpiły dalsze pytania. Ale już wiedziałem, że psychiatria służy budowaniu nowego porządku świata, gdzie będzie jedna, ludzka religia, kościół międzyludzki, towarzystwo wzajemnej adoracji. Świat się skończy. To wiedziałem na pewno. I bardzo martwiło...

Pewnego dnia zabrano mnie do pokoju z lustrem weneckim, które z jednej strony działa jak szyba, a z drugiej jak zwierciadło. Początkowo nie rozumiałem, po co tutaj jestem. Lekarka zadawała pytania, ja odpowiadałem. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że rozmowy przysłuchują się ludzie zza szyby. Chyba zauważyła, że się pokapowałem. Rozmowa zesła z mojego samopoczucia na sprawy obiektywne. - Ludzie pierwotni mieli psychikę podobną do chorych umysłowo. Wystarczy poczytać, jak pisali, jakby byli pijani. Powoli ludzkość zdrowiała, pozbywała się myślenia magicznego... - Sądzi Pan, że to się zmieniało? - wtrąciła pytanie lekarka w bieli. - Tak, ale z drugiej strony, gdyby tak było, nie mogliby prawidłowo funkcjonować...więc ta teoria chyba nie jest całkiem poprawna...być może było jeszcze inaczej. - Pan tworzy nową teorię. Według Pana psychika ludzi pierwotnych była inna niż nasza. To ciekawe. - powiedziała cieplejszym głosem. - Interesuje mnie, czy choroby umysłowe mogą dać wgląd w pytania

egzystencjalne, ale to tylko moje przypuszczenia. Może mitochondrialna Ewa naprawdę istniała, może to, co piszą w dawnych tekstach jest jednak prawdziwe...psychiatria odrzuca starożytną mądrość, ale oni byli dużo mądrzejsi od nas...i zdrowsi. - ciągnąłem zdanie za zdaniem, ale nie umiałem przekazać istoty rzeczy. Wszystko zdawało się ważne, wszystko interesowało. Jeszcze kilka pytań, kilka odpowiedzi, jak się Panu tu żyje, co pan planuje po wyjściu, czy leki są dobrze dobrane, czy zajęcia panu odpowiadają. - Jest tu za dużo czasu wolnego. Oprócz gimnastyki i telewizji nie ma co robić. Więc siedzimy całymi godzinami w palarni i rozmawiamy o świętych. Nie ma nic do roboty. Puste dni, jedynie noce wypełnione snami. Które wskazują nam drogę, jak wskazywały świętemu Józefowi...

Wszedłem do palarni, w której można było powiesić siekiere. Niebieskawo-szary tuman dymu wisiał w powietrzu, tak, że początkowo nikogo nie widziałem. Dopiero po chwili ujrzałem siedzącego pod zakratowanym oknem Artura. Już kilka razy rozmawialiśmy, cierpiał na schizofrenię i nie działał żaden lek. Był ogolony na łyso, wysoki, dość barczysty, oczy piwne, niespokojnie spoglądały na mnie, jakby przyszedł mu nakopać co najmniej. Usiadłem naprzeciw i zapaliłem, była prawie północ. - I jak tam - spytał. - Byłem na przesłuchaniu...ta dziweczka, która mnie próbuje leczyć, wzięła mnie na lustro weneckie. Ciekawe, kto tam stał po drugiej stronie... - Uważaj na Olę, to psychopatka - rzucił szybko. - Myślisz? - Jasne, daje takie leki i takie końskie dawki, że chodzisz po ścianach i po suficie. Specjalnie tak robi. - No, ja musiałem prosić się o akineton, poszedłem do ordynatora, myślałem, że mi nie da, a on z rozbijającą miną powiedział: "akineton? aha, nie ma sprawy" i kurde dali mi jeszcze przy obiedzie - mówiłem, a Artur odpałał jednego za drugim i zaciągał się głęboko. - Poznałeś Darka? - spytał. - Tego co wciąż czyta album z sanktuariami? - No, mówi, że jest bardzo szczęśliwy i że obcuje z Bogiem, dają mu silne leki, ale on i tak swoje. - Może jest owładnięty przez demony? - Albo święty. - Artur strzepnął do popielniczki. - Myślisz, że ma kontakt z transcendencją? - Możliwe. Psychiatrizy to idioci, wszystkich, którzy mówią coś o Bogu, traktują jak świrów. Chcieliby wszystkim chodzącym do kościoła zafundować niezłą terapię. Powinni spróbować wyleczyć w takim razie samego papieża. - Może chcieliby leczyć Jezusa... - zażartowałem, a Artur spojrział melancholijnie za okno, za którym czerniło się niebo oświetlane poświatą niedalekiego lotniska. Właśnie przelatywał lądujący na Ławicy samolot, robiło się późno. - Idę spróbować w kimę. Nie przespałem ani jednej całej nocy od 3 lat - powiedziałem i wyszedłem z palarni. - Ja jeszcze posiedzę. Muszę coś przemyśleć... - rzucił na pożegnanie, zamknąłem drzwi i wróciłem na salę. Wszędzie było ciemno, tylko korytarz był oświetlony delikatnymi neonówkami. Władowałem się do łóżka. Wkrótce odpłynąłem na pełne morze...

Pewnego gorącego dnia siedzieliśmy w ogrodzie, po otrzymałem już wyjścia w towarzystwie pacjentów i o czymś dyskutowaliśmy. Wyrzucono nas z oddziału, po tym jak dostałem ataku padaczkowego, a na mierzeniu porannym ciśnienia okazało się, że wszyscy mają takie samo ciśnienie, jak ja. Profesor przysłał egzorcystę, który cały czas rozmawiał przez telefon w dyżurce w nieznanym języku. Wiedziałem, że ten człowiek został tu specjalnie przysłany po tym, jak pielęgniarki doniosły, że "takich reakcji pacjentów na leki dawno nie pamiętają". Wtedy profesor przysłał owego mężczyznę, który mówił w języku podobnym do węgierskiego, a w każdym razie z grupy ugrofińskiej. Po kilkunastu minutach sytuacja na oddziale powoli się normalizowała. I wtedy Profesor przysłał kapelana, który rozdał wszystkim, bez spowiedzi, komunię świętą i modlił się za cały oddział. Kazano mi usiąść i siedzieć, ale nie mogłem. Co chwila chciałem chodzić, coś robić, gdzieś pojechać, jakby mnie ktoś wołał. Postanowiłem gdzieś zadzwonić, ale nadal nie puszczał mnie "efekt halo". Wszystko zewsząd nacierało na mnie, bodźce wpijały się w mózg jak

ostre kolce cierniowe, gdziekolwiek spojrziałem, tam było niedobrze i musiałem patrzeć gdzie indziej.

Kiedy sytuację na oddziale opanowano, zbliżała się pora marnego obiadku. Przeszliśmy do jadalnego, w tle nadawał telewizor, w którym mówiono o aferach, biznesmenach i banksterach. Pielęgniarka chodziła w kółko po korytarzu i powtarzała: "Tu się dzieją cuda. Ja też chcę mieć takie niezwykle zdolności..." - wyraźnie zazdrosna, patrzyła na mnie jakoś dziwnie, ale życzliwie. Potem podarowała mi "Być jak płynąca rzeka" Coehlo, więc miałem co robić. I wszystko byłoby już dobrze, gdyby...

Poszliśmy z ordynatorem do pokoju bibliotecznego. Stała tam przeszklona szafka, a na półkach stały różne książki. - Niech pan coś sobie wybierze. Pan kończył polonistykę, prawda? - Tak, a teraz próbuję od wielu lat skończyć doktorat. - Co pana interesuje? Może jakaś powieść kryminalna? - spytał. - Właściwie nie, nie wiem, co chciałbym poczytać. - Tu mamy biografię Mozarta...może to? - A czemu nie, niech będzie. - Mozart zmarł młodo, jak pan wie i został pochowany we wspólnym grobie, bo tak było najtaniej. Na pogrzebie był ksiądz i parę osób. A jego dzieła przetrwały... - mówił, a mnie się zdawało, że chce mi coś przekazać między wierszami. - Dobrze, przeczytam, ale źle mi się czyta przez tą chorobę. - To zaburzenia koncentracji uwagi. Ale niech pan ćwiczy czytanie, to najlepszy trening dla szarych komórek - powiedział mi, podając czarno oprawioną książkę jakiegoś zagranicznego autora i dał znak do wyjścia. - Mógłby tu pan usiąść, ale zamykamy ten pokój, żeby pacjenci nie zrobili bałaganu. - wyjaśnił ordynator i zamknął drzwi na klucz. - Niech pan wraca na oddział, miłego dnia. I odszedł. A ja zacząłem przeglądać biografię wielkiego kompozytora i zastanawiać się, czemu spytał, czy interesują mnie kryminały...

Skutki uboczne sprawiały, że czasami wykonywałem stary, szpitalny numer z tabletką pod językiem. Otwierałem paszczę, pokazywałem stewardesie, a pigułka była pod językiem. Szedłem szybko do kibla, wypluwałem i spuszczałem wodę. Te świństwa, zwane lekami neuroleptycznymi, musiałem wypluwać, aby nie chodzić po ścianach, jak inni pacjenci. Żaden nie mógł się niczym zająć, tylko chodzili bez sensu i bezcelowo po korytarzu, potem wracali na salę, kładli się na chwilę, by cały cykl rozpocząć od nowa. Przeglądałem dalej biografię Mozarta. Urodzony w bogatym rodzie, nie to, co ja. W wieku 3 lat dał pierwszy koncert, a w wieku 5 lat skomponował swój pierwszy utwór. Pomyślałem, że też tak chcę.

Pewnego dnia zabrano nas na pierwszy spacer. Szliśmy grzecznie z panią od gimnastyki aż nad jezioro Rusałka, gdzie spacerowało sporo ludzi i wielu z nich dosiadało rowerów. Patrzyłem na przyrodę i nie wiedziałem, czym tu się podniecać. Drzewa, jak drzewa, jezioro takie samo, jak inne, na przykład mazurskie, gdzie byliśmy z rodziną w dziewięćdziesiątym pierwszy, kiedy Dieter Bohlen skomponował "Testamente d'Amelia", chyba najpiękniejszą piosenkę w swoim dorobku. Patrzyłem na niebo, ale żaden latający spodek się nie zmaterializował. Oglądałem drzewa, ale na żadnym z nich nie wisiła tabliczka "pomnik przyrody". Gdzieś w górze śpiewały, a raczej przygrywały ptaki niebieskie, co nie sieją ani nie orzą, a ojciec niebiański je wszystkie karmi. Przypominałem sobie, idąc jak zawsze samotnie z tyłu grupy, swoją niedokończoną podróż przez pół Polski i dziwiłem się, że w takim stanie nikogo nie stuknąłem.

Rankiem któregoś dnia, a czas w szpitalu płynie zupełnie inaczej, wypuszczono nas na ogród, a był upał

czerwcowy. Nad nami co chwila przelatywały samoloty, także wojskowe. - Koniec świata - rzucił nagle Artur. - Przejdźmy się po tym małym parku - zaproponowałem. Szliśmy we trzech, oprócz nas dwu towarzyszył nam jeszcze Krzysiek, który już rezydował na części sanatoryjnej. Mijaliśmy klomby, zaniedbane żywopłoty, odgradzające nas od normalnego świata, oczywiście normalnego w wielkim cudzysłowie. Podeszliśmy za część kliniki, gdzie rezydowały kobiety. Właśnie mijala nas dość jeszcze młoda pacjentka. Patrzyła się dziwnie na nas, po czym odezwała: - Chce mi się...chce mi się...chcecie? - cichy szept, nieco złowieszczy, jakby zdradzała nam swoją największą tajemnicę. Wszyscy byliśmy zażenowani tą scenką, ale powiedziawszy to, kobieta zniknęła za zakrętem betonowej ścieżki. - One są napalone - stwierdził Artur. - Może na ciebie - dorzucił Krzysiek, wysoki blondyn, ubrany na sportowo i w trampkach. - Raczej na Rafała - spojrzał na mnie i mrugnął okiem. - Chodźmy dalej - powiedziałem i nagle znaleźliśmy się koło niedużego basenu, w którym nie było wody. Basen miał zardzewiałą drabinkę, był nieduży, tak, że z pewnością nie służył do pływania. - Po co tutaj basen - zastanowił się Krzysiek. Nagle w lot pojąłem, po co tutaj zbudowano tę sadzawkę. Wiedziałem już, do czego mógł służyć. Nie dałem po sobie poznać i wzruszyłem ramionami: - Pewnie dla pacjentów, żeby mogli się zrelaksować. Prawda była jednak inna, a znałem to z dawnych podręczników psychiatrii, gdzie omawiano rozmaite archaiczne metody leczenia. Chwilę staliśmy nic nie mówiąc, a dwaj moi towarzysze nadal wymieniali uwagi na temat osobliwego baseniku.

Wróciliśmy znowu na oddział. W końcu korytarza stały za przeszkleniem dwa wygodne fotele, gdzie sobie siadłem. Okno wychodziło na wschodnią część budynku, widać było drzewo, chyba jesion albo dąb. Zacząłem się modlić w duchu. Nie było tu źle - posiłki i dach nad głową za darmo. Leki za darmo. Dawniej pacjenci spędzali w zakładach miesiące, a niektórzy całe lata, a nawet całe życie. Teraz wypuszcza się ledwo podleczonej pacjentów, którzy ze stresu znowu powracają, jak przez obrotowe drzwi. Nie ma funduszy na długie leczenie. Pacjent jest popędzany, żeby szybko stanął na nogi, żeby od razu znalazł pracę i to dobrą, żeby zaczął zarabiać i być samodzielnym. Wiedziałem po sobie, że to mrzonki. Schizofrenia nigdy się nie cofa, chyba za interwencją boską. Niszczy relacje, niszczy całe życie wewnętrzne, regresuje do poprzednich wcieleń, z których pochodzi czasem przekleństwo. Do dziś to tajemnica. Teorie wzajemnie sobie przeczą, podobnie jak w innych zaburzeniach umysłowych. Jedni mówią tak, inni że to nie tak. Nie ma jedności w tej wielości pomysłów, koncepcji i hipotez...

Wreszcie mogłem coś zrobić. Do tej pory nic mi w życiu się nie udawało, zupełnie jakby ciążyła klątwa, fatum czy złe oko ludzi zazdrosnych. Teraz czułem się wszechmocny. Zawsze mnie zastanawiało, czemu ludzie powtarzają w kółko "wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia", w domyśle - w Bogu - ale z tego nie korzystają. Gdyby rzeczywiście Bóg nam pomagał, na pewno świat byłby lepszy. Zaraz odezwą się wyjaśnienia, że "człowiek jest wolny", że ma wolną wolę i takie różne. Tyle, że jak uczą przypadki pacjentów człowiek znów taki wolny nie jest: oto czuje głód i musi zjeść, czuje pragnienie i musi się napić, musi chodzić do pracy, choć jej nie lubi. Zawsze dziwił mnie tłumaczenia, że granicą działania Boga jest rzekoma wolność ludzka. Jesteśmy niewolnikami. A co, jeśli nie Bóg stworzył nas, a zostaliśmy tu przetransportowani przez nieprzyjaznych Obcych? Istnieje sporo poszlak, na przykład fakt, że jako jedyny gatunek na ziemi bardzo trudno się tu adaptujemy w przeciwieństwie do zwierząt. Nie służy nam grawitacja - świadczą o tym choćby choroby kręgosłupa. Rodzące się dzieci mają nieproporcjonalne do budowy ciała kobiecy głowę, co komplikuje akcję porodową. Chorzy umysłowo pokazują, że człowiek bardzo trudno się przystosowuje do życia ziemskiego, co może świadczyć, że zostaliśmy tu przywiezieni skądś. Skąd? Tego nie wiem. W każdym razie tłumaczenie, że Bóg nie działa, bo człowiek jest wolny, nie jest prawdą. Są ludzie, którzy latami powtarzają różne modlitwy, chodzą od kościoła do kościoła, od

wspólnoty do wspólnoty, od rekolekcji do rekolekcji i nic. Wielkie nic. Jeśli tedy religia nie działa, to znaczy, że działa coś innego. Takie myśli przychodziły do głowy, gdy siedziałem pod oknem wychodzącym na wschód, za którym rosły dęby albo buki, kto to wie. Nie, człowiek jest częściowo wolny. To wiem na pewno, a upewnia mnie w tym fakt, że nawiedzeni szkoleniowcy w kółko powtarzają "możesz wszystko", tyle, że jakoś praktyka ich życia tego nie potwierdza. Jeśli "możesz wszystko", to czemu tego nie robisz? I tak mądrość usprawiedliwiona będzie w swoich dziełach...

Weszła pielęgniarka i kazała pójść za sobą. Zwlokłem się z łoża boleści o własnych siłach. Szła przodem. Ja za nią jak cień. Słońce grzało od wschodu i mój cień kołysał się na ścianie. Pacjenci chodzili tam i z powrotem. Bez celu. W sobie tylko znanym celu. W tym chodzeniu było coś strasznego. Jakby szukali czegoś. Jak gdyby szukali miejsca, portu przeznaczenia, byli w drodze. Bo może byli, nie wiem. Ja byłem. Oto w połowie podróży przez ten biedny wciąż kraj trafiłem tutaj i idę za przedstawicielką średniego personelu, jak sługa. Upokorzenie jest moim chlebem. Prawie ukończony doktorat. A ta mi będzie rozkazywać. No nie. Ale szedłem, bo zawsze słuchałem starszych, mądrzejszych i nigdy się nie buntowałem. Może czas na to, nie wiem. Skręciliśmy w prawo, wolne krzesła były w jadalni. - Zaraz ktoś Pana odwiedzi - powiedziała tylko i poprosiła, żebym tutaj grzecznie poczekał. Właśnie tak rzekła: "grzecznie". Jasne, że poczekam. Mnie się nigdzie nie spieszy, tu jest tak fajnie, telewizor pokazuje najnowsze afery finansowe, w tle gra muzyka z radia i grają w ping-ponga dwaj pacjenci w lepszej formie. Zostawiła mnie i wyszła, zamykając deliaktnie drzwi. Zapadła głucha cisza, przerywana tylko szumem z radia i monotonym stukotem odbijanej od zielonego stołu piłeczki.

Chwilę po wyjściu pielęgniarki siedziałem sam przy stoliku, gdzie mnie zostawiła, a w telewizji nadawano "Teleekspres", pacjenci nadal stukali w piłeczkę, a radio nadawało "Fly with me to Malibu" z lat 70tych. Nie wiedziałem, po co mnie tu przyprowadziła, więc czekałem. Jak zwykle nieco się nudziłem, podobno to cecha ludzi zdolnych. Nie czułem się jednak ani wybitny, ani nawet zdolny - przeciwnie jestem pewien, że sam nic nie potrafię ani bez pomocy ludzi, ani bez pomocy Opatrzności. Kiedy dopada mnie napad padaczkowy, staję się zombie. Leżę bezradnie na łóżku i błagam Boga o sen, albo najlepiej śmierć. Bodźce docierają nie tak, jak normalnie, ale wszystkie naraz, ze wszystkich stron, zewsząd i uciskają straszliwie. Potem, kiedy ten stan zwierzęcej, przedludzkiej świadomości mija, znowu jestem człowiekiem, ale już wiedzącym, że sam o własnych siłach niewiele potrafię. I że jest jakiś przełącznik w środku: przekręcasz kontakt i gaśnie światło, pyk i znowu świeci. Tak tedy siedząc przy stole, nudziłem się srogo.

I wtedy usłyszałem najpierw kroki od strony korytarza, a potem uchylanie drzwi. Postać, która weszła, był to około 50-letni mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem i drugi mężczyzna, ale starszy. Obydwaj byli dziwnie ubrani, jak na tę porę roku - w lekkich płaszczach, które zdjęli i powiesili na wieszaku, a wtedy zobaczyłem, że są ubrani w drogie marynarki i bardzo drogie buty. Wstałem, bo patrzyli w moją stronę i wtedy podeszli, wyciągając dłonie na przywitanie. - Pan Sulikowski, Rafał Sulikowski? - bardziej stwierdził niż spytał młodszy, a ja potwierdziłem skinieniem głowy. Nagle wszystkie słowa odeszły i staliśmy kilka sekund w lekkiej konsternacji, po czym odezwał się ponownie: - Przybyliśmy tu do pana, specjalnie do Pana - podkreślił i ruchem ręki dał znać, żebym usiadł, po czym obydwaj zajęli miejsca przy stoliku. Obydwaj mieli ze sobą ciemne aktówki, które otworzyli i wyjęli jakieś dokumenty, a aktówki postawili na podłodze z płytek kuchennych. - Bardzo nam miło Pana poznać. Jesteśmy medykami z

Warszawy. Doktor Żuławski i ja chcielibyśmy zadać Panu kilka pytań, a potem przedstawić pewną propozycję - mówił tonem dość ciepłym, trochę jak do nastolatka. - Oczywiście, proszę pytać - powiedziałem, a wtedy odezwał się ów starszy mężczyzna.

- Przybyliśmy do pana z Warszawy, jak wspomniał kolega. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Potem mamy dla pana kilka propozycji, zależnie od udzielonych nam teraz odpowiedzi - zaczął starszy mężczyzna, który się nie przedstawił. - W porzo. Walcie z pytaniami! - rzekłem, a potem ugryzłem się w język, lecz było za późno. Słowa poszły w eter. - W porządku. - kontynuował, jak gdyby nigdy nic starszy z przybyszów. - Najpierw chcemy sprawdzić, jak Pan jest zorientowany. Czy wie Pan, jaka jest dziś data i gdzie się Pan znajduje? - spytał miękkiem głosem, a potem życzliwie pochylił ku mnie. - Wiem. Mam diagnozę przewlekłej psychozy, leczę się od 2000 roku, czyli od siedmiu lat. A teraz boli mnie tylko głowa - mój głos był nieco bezbarwny, niby z głębokiej studni, zdradzając splotenie afektu i emocjonalne zblednięcie, o czym znałem z książek. - Zgadza się - inicjatywę przejął Żuławski, a starszy zaczął coś notować. - Podobno przejechał pan sam samochodem przez pół Polski w stanie ostrej psychozy? Czy to prawda? - Jak najświętsza. Ale nikogo nie pukałem. Musiałem się tylko przespać w zajeździe pod Poznaniem. Rano chciałem jechać dalej o 6, ale drzwi jeszcze główne były zamknięte. Zostawiłem dowód osobisty w recepcji i wyszedłem przez okno z pokoju. Dosiadłem swego malucha i pogałem dalej na północ. Resztę zapisano w karcie przyjęć - opowiadałem specjalnie beztrasko, na luzie, lecz obydwaj mężczyźni słuchali nadzwyczaj uważnie i wszystko stenografowali jakimś swoim systemem notatek. - Wiemy. Karetka przywiozła Pana na ostry dyżur prosto spod kościoła ojców dominikanów z ulicy Kościuszki, gdzie wcześniej dostał pan śniadanie. Potem przywieziono pana tu. Ale ważne jest nie to, co pan mówił tutaj wcześniej. Ważne jest to, czego Pan jeszcze nikomu tu nie powiedział, a co wiemy z innych źródeł. Dlatego prosimy Pana o szczerą i zaufanie. Chcemy nie tylko panu pomóc. Ma pan okazję, żeby pomóc nam i podobnym sobie. I nie tylko....- zawiesił lekko głos Żuławski i w jego wzroku dostrzegłem miękkość i niemą prośbę. - Wiemy, że podobno zdołał pan przejechać ostatnie sto kilometrów na prawie pustym baku. A wcześniej w jakiś sposób pokonał pan ponad czterysta kilometrów trasy w...w trzy minuty. Nikomu pan tego tu nie opowiadał, bo obawiał się, że pana uznają za wariata i wlepią haloperidol. Pisał pan o tym tylko w sieci pod pseudonimem, ale my wiemy, że to Pana historia. Niech pan się nie boi. My Panu wierzymy...

Przez moment przy stoliku w jadalni szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych w Kościanie, gdzie siedzieliśmy, panowała pełna oczekiwania cisza. Zdawało się, jakby tylko stukot piłeczki ping-pongowej odbijał się od ścian, w których nadal ukryte były mikrofony i które to ściany widziały już wiele. Zaskoczenie, w jakie wpędzili mnie przybysze ze stolicy sprawiło, że zapomniałem nagle język polski i odezwałem się po angielsku. - Ok - mój głos był lekko przytłumiony. Tak to prawda. Kiedy wyruszałem z tego nawiedzonego zajazdu w Sobótce, gdzie otrzymałem nocleg za ostatnie 60 złotych, paliwa miałem najwyżej na dwadzieścia kilometrów. - Ile jest kilometrów z owego zajazdu na ulicę Kościuszki, gdzie pan ostatecznie zaparkował pod bankiem PeKaO? - spytał starszy przybysz. - Około sto - powiedziałem i umilkłem. - No, dobrze, a nie tankował pan po drodze - dopytywał młodszy. - Nie, bo ostatnie pieniądze zostawiłem w motelu - mówiłem, starając się jednocześnie pojąć, jak mówić, aby było, jak należy. - Wieczorem, po trasie byłem wykończony i szukałem noclegu. Początkowo zamierzałem dojechać prosto do celu, czyli do stryjska do Szczecina, ale nie przewidziałem, że podróż mnie wykończy. - Czy pamięta pan całą trasę? - Nie, właśnie nie bardzo wiem, w jaki sposób przejechałem te kilkaset kilometrów. - Czy pamięta pan skąd pan wyruszył? Z Krakowa? - dociskał młodszy, a starszy przeglądał jakiś dokument i jed-

nocześnie notował. - Nie, chyba nie. Przed podróżą dużo jeździłem po Małopolsce, pamiętam jakąś pizzerię o nazwie "Kontakt"... - Tak się nazywała? - Tak, dlatego zapamiętałem. - Gdzie jeszcze pan jeździł? Proszę przypomnieć sobie przynajmniej najważniejsze miejsca - nalegał Żuławski, przybysz z pieprzonej Warszawy. - Wiem, że na pewno pojechałem do Wieliczki, kierując się na wschód, ale potem skierowałem się dalej na wschód, szukając pałacu, w którym byłem z ojcem jako dziecko. Potem pamiętam już niewiele... - zawahałem się, ale rzeczywiście moja pamięć była otamowana. - Dobrze, a jak pan trafił pod kościół ojców dominikanów z trasy z południa, nie znając w ogóle miasta? Proszę sobie przypomnieć, ile pan zdoła - prosił bardziej niż pytał Żuławski, co mnie nieco dziwiło. - Niestety, ostatnie moje wspomnienie to jakieś osiedle, wiem, że były to na pewno trzy dziesięciopiętrowe wieżowce, pomalowane chyba na coś jak skrzyżowanie rózu i pomarańczy, gdzie wjechałem z głównej trasy... - urwałem, bo wtrącił się starszy, mówiąc do młodszego: - To mogła być w takim razie trasa nr 11 - po czym dodał: - Proszę mówić dalej. - No, więc na pewno skręciłem w prawo, był jakiś zjazd, taki typowy, z estakady, potem wjechałem na osiedle. - I tam pan po raz pierwszy telefonował na numer alarmowy 112, czy tak? - Tak, nagle poczułem się bardzo źle, przez chwilę myślałem, że zemdleję, miałem wysoki puls, więc zadzwoniłem. - Ale nie wiedział pan, jak nazywa się to osiedle, więc pogotowie nie wiedziało, dokąd podjechać - uzupełniał Żuławski, patrząc w dokumenty. - Właśnie tak. Tłumaczyłem tylko, że jestem na jakimś osiedlu, że stoją wysokie bloki i nie wiem, gdzie jestem. - Nie miał pan planu miasta, ani mapy Polski, nie mówiąc o GPS - dodał starszy. - Tak, jechałem kierując się wyłącznie znakami drogowymi i intuicją. - Co było dalej? - Niewiele już potem pamiętam. Zdenerwowałem się bardzo, kiedy pogotowie nie mogło przyjechać i pojechałem dalej. - Zatrzymał się pan na stacji benzynowej. - Tak, ale nie wiem, której. - Nie wie Pan, jak się nazywała? Orlen, Shell, Lotos? - Nie, wiem, że miała żółte logo i nic poza tym. - Chciał pan zatankować paliwo... - zaczął Żuławski i urwał, a ja z trudem wydusiłem: - Tak, w baku było pusto, przez chwilę chciałem zatankować i odjechać. - Nie płacąc? - Tak. - Ale ostatecznie wystraszył się pan i zrezygnował z tankowania. - Tak jest, ruszyłem po chwili dalej, kupiłem tylko puszkę coli, był straszny upał. - I co dalej? Pamięta pan, jak dostał się ze stacji pod klasztor? - Nie, nie pamiętam. Wiem, że pytałem przechodniów o drogę, dziwnie się patrzyli, coś tłumaczyli, ale nic nie rozumiałem. I po drodze widziałem jakąś stłuczkę, to było w jakimś parku, dość dużym... - zamilkłem, bo mimo wysiłków to było wszystko. - W każdym razie dotarł pan bezpiecznie pod kościół. - Tak, i po śniadaniu próbowałem wypłacić pieniądze z bankomatu, które próbował przelać mi ojciec. Ale pieniądze nie doszły. A może bankomat był zepsuty. - I wtedy zadzwonił pan po raz drugi na 112 - bardziej stwierdził niż spytał Żuławski, odkładając dokumenty. - Tak. Powiedziałem, że stoję koło dominikanów i że mam schizofrenię i bardzo niedobrze się czuję. Przyjechali w kilka minut...

Moment trwało spokojne, pełne milczenie, podczas którego Żuławski coś szepnął do towarzysza, ten wyjął z aktówki jakiś papier i mu wręczył, po czym zwrócił się z pytaniem, czy rozmowa nie sprawia mi cierpienia. Kiedy odpowiedziałem, że nie, doktor kontynuował. - Tak, karetka przyjechała w parę minut, pan wsiadł i zawieziono go na ostry dyżur. Proszę powiedzieć, jak pan się czuł, gdy jechał w karetce? - O wiele lepiej niż na ulicy. - Czyli niepokój się zmniejszył? - Zmierzono mi ciśnienie, podano jakiś zastrzyk...nie pamiętam szczegółów. - Dobrze, dalej już pan sporo mówił podczas rozmowy na izbie przyjęć 19 czerwca rano. Teraz chcielibyśmy...chcielibyśmy dowiedzieć się nieco więcej o tym, co wydarzyło się, zanim pan wsiadł w samochód i udał się w kierunku Szczecina. Z pana relacji jak dotąd niewiele wiemy o chwilach bezpośrednio sprzed wyjazdu. Zostawimy pana na chwilę tutaj. Proszę przypomnieć sobie jak najdrobniejsze detale, a dlaczego o to prosimy, powiemy panu później. Żuławski zebrał ze stołu papiery i razem z nieznanym równocześnie wstali. - Musimy teraz załatwić jedną ważną sprawę z ordynatorem. Proszę tutaj poczekać. Będziemy za jakieś piętnaście minut. Zostałem sam ze swoimi wspomnieniami.

Coś mi się nie zgadzało. Czułem bardziej niż byłem świadomy, że coś tutaj w tym wszystkim się nie zgadza. I że może obydwaj przybyli pomogą mi to ustalić...

Minęło kilkanaście minut, które liczyły się tak, ile ich w godzinie, a godzin w wieczności. Wrócili. Usiedli. Znowu aktówki wylądowały koło stolika, a papiery na stoliku. Piłeczka nadal skakała rytmicznie po zielonej, twardej łące. Wtedy odezwał się Żuławski. - Co pan pamięta z czasu sprzed wyjazdu na północ? - Kiedy panowie byli u ordynatora, przypomniałem sobie, że z pizzerii... - tej, która nazywała się "kontakt"? - wtrącił starszy. - Właśnie, więc z tej pizzerii, gdzie zaczęło mnie kilku młodych, a ja zrobiłem tam im straszną awanturę, odjechałem na wschód, chyba drogą na Bochnię, potem Brzesko i dojechałem do Łańcuta. - Dlaczego tam? - Nie wiem. - Co było dalej? - Pamiętam tylko, że otoczyła mnie jakaś mgła...na drodze nie było żadnych aut...wiem, że jechałem w gęstej jak cukrowa wata mgle...po pewnym czasie straciłem orientację, gdzie jestem i dokąd jadę, więc nieco zwolniłem...zobaczyłem, że jestem w jakimś lesie, jechałem dalej. Po chwili las się skończył i ustąpiła też mgła. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Jechałem dalej, ale zauważyłem, że zegar na tablicy rozdzielczej się zatrzymał na 12.03, a jeszcze trzy minuty wcześniej chodził. Kiedy popatrzyłem na swój zegarek, który noszę zawsze ze sobą, ze wskazówkami, zobaczyłem, że pokazywał godzinę 16.19, co wydało mi się dziwne. Potem dotarłem do jakiegoś znaku informacyjnego. Było na nim napisane "Opole 8 km". Byłem przerażony, więc zatrzymałem się w przydrożnej knajpie, gdzie poprosiłem o colę. Spytałem, która jest godzina i jak się nazywa miejscowość. Była 12.03 w południe...potem nie pamiętam... - Ile jest kilometrów z Łańcuta do Opola? - zapytał rzeczowo Żuławski. - Około 280. - Ile musiałby pana jechać swoim samochodem, aby pokonać taką odległość? - Około 4.5 godziny. - A czy pamięta pan, o której wyjechał pan z Łańcuta? - Tak. Była 11.59, najwyżej 12...

Przy stoliku zapadła głucha, straszna cisza. Słuchać było tylko stukot ping-ponga i miarowe tykanie wiżącego nad telewizorem ściennego zegara...

Podczas, gdy trwało milczenie, pełne ukrytych znaczeń, zielony stół nadal wydawał miarowy stukot, a zegar wskazywał wciąż tę samą godzinę. Czas stanął. Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, którego nic nie mąciło. Nawet stukanie piłeczki dochodziło teraz jakby zza szyby albo zza mgły, co paradoksalnie pomagało w nadaniu tym chwilom czegoś nieokreślonego. - Zatem...- próbował zacząć Żuławski, ale nie mógł, więc podjął młodszy: - Zatem ok. godziny 11.59 przy przytomnym umyśle, zakładam też, że trzeźwym, ale skądinąd wiemy, że Pan nie pije w ogóle, był pan blisko Łańcuta. W trzy minuty później, kiedy jeden z zegarków wskazywał 12.03, był pan blisko znaku drogowego "Opole 8 km", a oba miejsca dzieli przestrzeń około 280 kilometrów. Co jeszcze pan pamięta bezpośrednio sprzed południa i bezpośrednio po tym, jak dowiedział się, gdzie się znajduje? - Niewiele. Był las, słońce przykryły dziwnego kształtu chmury, wokół nagle zamgliło się szarą mgłą, miała jakby lekkie, srebrzyste prześwity. Jechałem wolno. Kiedy ostatni raz mijalem znak miejscowości Łańcut, spojrzałem na zegarek, wybijało południe, włączyłem jak zwykle o pełnej godzinie radio, żeby posłuchać wiadomości. Wokół o tej porze nie było żadnych aut, ani pieszych. Gdzieś w oddali widziałem chmury gradowe na horyzoncie. Szły w moim kierunku. Kiedy minąłem znak, radio zaczęło szwankować, więc je wyłączyłem. Potem zapadł półmrok lasu. Kiedy wyjechałem, niby z tunelu, po drugiej stronie było pochmurno, więc nie widziałem słońca. Niedługo potem zobaczyłem ów znak "Opole 8 km". - Pamięta pan te miejsca? Dałby radę pan je wskazać w razie potrzeby? - Tak, o ile znaki drogowe są nadal tam, gdzie były. Żuławski odzyskał tymczasem mo-

wę. Przestał wertować notes i zamknął go, a potem zwracając się bardziej do towarzysza niż do mnie, powiedział, że "już czas na nas". Początkowo nie rozumiałem, o kogo chodzi, sądząc, że mówi o nich. Tymczasem Żuławski nie pytając o zgodę, tonem rzeczowym powiedział: - To chwilowo by było tyle. Teraz do wieczora ma pan wolne. Proszę spakować swoje rzeczy i starać sobie przypomnieć, jak najwięcej. Wieczorem przyjedzie po pana nieoznakowany radiowóz. Kierowca będzie czekał na parkingu. Kiedy poda pan hasło: "Skądinąd", on odpowie: "I zewsząd", a wtedy wsiądzie do środka. Ordynator już wie, podobnie jak pana lekarz. Natomiast nie mówić proszę ani żadnemu pacjentowi, ani pielęgniarkom. Wyjdzie pan na znak przesłany przez sms. Oddział będzie wtedy w jadalnym na kolacji. Salowe pana wypuszczą tylnymi drzwiami na ogród, stamtąd podejdzie pan na parking obok starego basenu. Kiedy skończył, znowu zapadła cisza, jednak tym razem inna. W oddali grzmiało. Pierwsze przebłyski i ciężkie, czerwcowe krople zaczęły uderzać o ziemię. Obydwaj mężczyźni wstali, kolejno pożegnali i niepostrzeżenie wyszli z jadalni, nie zostawiając najmniejszego śladu. Zostałem sam.

Kiedy wyszli, głucha cisza odbiła ostatni serw ping-ponga. Telewizor był już wyłączony, wszyscy gdzieś znikli. Zbliżała się burza, widać było zarysy chmur i kontury błyskawic na zachmurzonym mocno horyzoncie. Zbliżała się druga po południu, zaraz podadzą obiad. Minęła ledwie godzina, odkąd poznałem dwóch nowych znajomych. Przyszli i wyszli, ale zapewne wrócą. Nie starałem się układać żadnego planu na przyszłość. Żyłem raczej przeszłością, tym, co było i nie wróci. Bo terażniejszość mnie nie pociągała. Zbyt bliskie, oślizgłe jej szpony opęły mnie jak pyton, ścigały z chmur na twardą posadzę szpitalną, była zbyt nachalna, by nie rzec - natrętna. Miałem kilka godzin, które musiałem zagospodarować, bo przypuszczałem, że i tak miną, nawet jeśli nie zrobię z tym nic. Z doświadczenia wiem, że nie ma nic dłuższego niż pięć minut w kolejce u dentysty i nic krótszego niż pięć minut jedzenia gałki lodów. Taki to jest ten czas - dziwny, niejednorodny, jakby rzeczywiście nieciągly. Coś trzeba było zatem postanowić i raczej teraz niż za godzinę. Najpierw jednak trzeba było zjeść solidny obiad, a tego dnia miał być schab bez kości, ulubione menu mojej nieodżałowanej wciąż babki. Zawsze stawała z trzcinką nade mną i mówiła, że mam zjeść wszystko z talerza, bo jak nie, to ta trzcinka - tu pokazywała mi przed nosem - będzie w robocie. Trzcinka lądowała z powrotem w przedpokoju za kaloryfer koło łazienki, i nigdy nie była w robocie, ale ja zwalony wielkim jak chłopska, spracowana dłoń schabem musiałem na jakieś dwie godziny zrobić sobie drzemkę. Teraz jednak trzcinka mi nie groziła. Raczej pusty, niezagospodarowany niczym sensownym czas, który wlecze się najbardziej, jak człowiekowi czegoś zaczyna brakować. Raczej pustynia niż wnętrze barokowej świątyni. Raczej szklanka pusta niż pełna do połowy. Tymczasem siedząc dalej w tym samym miejscu, w którym zostawili mnie medycy ze stolicy, zauważyłem, że nadeszli pacjenci, zaczęli manipulować przy wystawionych na stoły na czas sprzątanania krzesłach, zaraz wjechał parujący zupą wózek bemaowy, z którego salowy już rozlewał gorącą strawę dla uciśniętych duchowymi sprawami powłok cielesnych. Pacjenci tańczyli między stolikami, aż przechodziły dreszcze, jednak żaden się nie potknął. Codzienny taniec wyćwiczył widać ich zmysł równowagi. Podszedłem, wróciłem z talerzem, zjadłem, potem wrąbałem drugie, tak, to się nazywa kuchnia polska, nie jakaś tam azjatycka, chińska czy inna szwabska, polskie to jest to - suto, dużo, mocno, jeszcze brakuje czerwonego wina półwytrawnego co najmniej, a potem deseru z lodami. Kiedy szczękały oddawane pod bema naczynia, zrozumiałem, że nie się poza obiadem nie kończy. Że w życiu i dniu są takie małe końce, jak koniec jedzenia, koniec zmiany, koniec odpoczynku, ale że zaraz jeden koniec przechodzi w nowy początek, jak w poematach Eliota. I że to znużenie poobiednie jest konieczne. Powlokłem się ze znajomym ciężarem w połowie ciała do swej sali, zwałem w ubraniu i butach na łóżko, pacjent już nie nucił, a mikrofony ze ścian zaczęły tymczasem niepostrzeżenie zniknąć. Krótko potem zmorzył mnie sen. Był jak ciemna, chłodna studnia pośrodku letnich upałów gdzieś wysoko w Sudetach. Jednak to nie tam, coś mi się tłukło, zupełnie nie

tam...

Podczas, gdy odpoczywałem po obiedzie, drzwi do gabinetu ordynatora otwały się na trzy sekundy i zamknęły; do środka weszła lekarka Ola, która próbowała leczyć mnie sobie znanymi sposobami, podając silne inhibitory receptora typu 2 dla szlaków dopaminy. Średnio jej to szło, o czym świadczyły obecne jeszcze nadal, choć już śladowo, mikrofony w ścianach, tudzież niewidoczne kamery, służące do pilnowania mnie jak oka opatrności w trójkącie. Kiedy ordynator ujrzał Olę, ta przywitała się, a ów zdjął nogi z biurka, gdzie je przed chwilą od dłuższego czasu trzymał. Zawsze tak robił, ilekroć coś frapującego miał do przemyślenia. Usiadła. Chwilę panowało milczenie, które przerwał ordynator. Powiedział, że nie jest pewny, czy dobrze zrobił, zgadzając się na przeniesienie pacjenta po krótkim jeszcze pobycie, z widocznymi urojeniami i zaburzeniami postrzegania (wie pani, że on sądzi nadal, że pacjenci chodzą w cywilnym ubraniu?) do dużego, wręcz bardzo wielkiego miasta, jakim jest stolica, gdzie niewątpliwie jest więcej bardziej nowoczesnych metod leczenia, ale z drugiej strony hałasu, zgiełku i stresu. Kiedy zapytał, w jakim dziś stanie jestem, Ola odpowiedziała, że kwestią czasu jest działanie lekarstwa i że rokowania - przynajmniej co do objawów wytwórczych - są raczej pomyślne. Wciąż jednak nie przekonany dodał, że nie bardzo ufa temu Żuławskiemu. Po co przenosić pacjenta do Warszawy, skoro prawie takie samo leczenie zapewnia mu nasz szpital, który - wedle rankingu tygodnia "Wprost" w 2007 roku - jest obecnie najlepszą placówką zdrowia psychicznego w kraju? I jak im wierzyć, skoro niewiele o sobie powiedzieli, a ponadto - mają zamiar przewieźć pacjenta tam nieoznakowanym radiowozem. Jak jakiegoś przestępcę! - krzyknął wzburzony. - Albo...albo kogoś ważnego, przynajmniej w ich opinii - zamysliła się, a wtedy ordynator wydał ostateczną decyzję. Tu jest karta wypisu, miejmy nadzieję, że ostatecznego. "Pacjent w wyrównanym nastroju i prawidłowej orientacji, bez myśli i tendencji suicydalnych, zostaje na wyraźne żądanie odpowiednich władz warszawskich przeniesiony do tamtejszego Instytutu Neurologii i Psychiatrii, aby wziąć udział w nowatorskim, eksperymentalnym leczeniu, wdrażanym jako III faza badań klinicznych przez wyżej wymieniony instytut. Leczenie potrwa co najmniej trzy miesiące. Możliwy wcześniejszy powrót do ośrodka poznańskiego w razie nieprzewidzianych sytuacji." Kiedy przeczytał, lekarka machnęła parafką, wbiła swoją pieczęć i schowała papier do tekturowej teczki. Potem wyszła. Ordynator znowu położył nogę na nogę i bębniąc palcami o blat, jednocześnie bawił się ołówkiem.

Tymczasem po krótkim odpoczynku, zdecydowałem, że zacznę się pakować. Nie miałem wielu rzeczy: przybory łazienkowe, Biblia, książka o Mozarcie, trochę zeszytów, telefon, cudem wywalczony u pielęgniarek, dokumenty, portfel i dres do spania oraz szpitalne laczki. Te postanowiłem zostawić, może przydadzą się komuś następnemu. Kiedy rzeczy zostały sprawnie spakowane, usiadłem w korytarzu i gapiłem się na gałęzie za oknem. Burza nieco zmieniła kierunek. Szła teraz w kierunku południowo-zachodnim, w stronę Kościana. Niebo lśniło jak w bajce. Dzień przełamywał się na drugą stronę, jak śpiący na drugi bok. Wróciłem do sali i runąłem na posłanie. Zmorzył mnie krótki, krzepiący sen...

Lecz wszystko w tym życiu dobiega kresu, nawet sen. Była piąta, czas kolacji. Gdyby ktoś rzeczywiście zamontował kamerę w sali nr 37 uniwersyteckiego szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych przy ulicy Szpitalnej 27, a potem analizował zapisany obraz, zobaczyłby wysokiego mężczyznę, powoli wstającego z posłania, na którym moment wcześniej coś śnił. Pacjent rozejrzał się nie całkiem spokojnie dookoła, a następnie sprawdził telefon, po czym przez chwilę skupił i podjął znać jakąś decyzję, bo kamera ukazała

go zbierającego swoje rzeczy, a mikrofon zarejestrował krótką rozmowę z właśnie przybyłym do sali pacjentem, tym, który wcześniej nucił pod nosem pieśń "Matko Najświętsza, do serca twego, mieczem boleści wskroś przeszytego". Gdyby włączyć w tej chwili dodatkowo mikrofon, rozmowa wyglądałaby tak: - O, Rafał, spakowałeś się. Gdzieś jedziesz? - Nie, znaczy tak, nic takiego. - Przepustka? - Właśnie, to dobre słowo. Przepustka. - Nie zapomnij wrócić na czas. - Chyba mnie trochę przytrzymają... - Jakby co zostawimy balkonowe uchylone, jak zwykle. - Okej, spoko, wiesz ja już muszę iść. Trzymaj się, Darek. - Narka! Potem kamera pokazuje widok sali 34, w której pozostał już tylko wspomniany Darek, który znowu zaczął śpiewać i układać posłanie. Wszyscy byli na kolacji, widocznie on zjadł wcześniej, albo wcale nie chciał jeść. W każdym razie, jak się zdawało, droga była wolna. Należało tylko przejść korytarzem obok pielęgniarek, a potem palarni do telewizyjnego, gdzie miała miejsce rozmowa z Żuławskim, potem przejść przez werandę do ogródka, a stamtąd na parking było całkiem blisko. Jak to się jednak dzieje zwykle, gdy coś człowiek tam sobie planuje, nagle pacjentowi wyrosła na drodze postać w biele. - A Pan się dokąd wybiera? - spytała władczo i zastąpiła drogę. Przez chwilę trwało przykre milczenie. Wtedy ni stąd ni zowąd odezwał się kobiecy głos z dyżurki: - Może iść, ma przepustkę. - Aha, przepustka? A lekarz wie? - mówiła jednocześnie dziwnie się uśmiechając, jakby wiedziała coś, o czym pacjent nie wiedział, albo dawała znać, że wie, iż on kręci. - Tak, papiery są w dyżurce - znowu dobiegł zza pancernej szyby aksamitny, lecz stanowczy głos przełożonej personelu szpitalnego. - Tylko żadnych kobiet na przepustce. Ani alkoholu ani kropli - pogroziła palcem i puściła wolno. Odetchnął, czego jednak najczulsza nawet kamera nie byłaby w stanie zapisać, jednak odczuło się jakby zmianę atmosfery w powietrzu. Droga stała otworem. Teraz chyba nic ani nikt nie wyrośnie jak spod ziemi prosto pod nogi. Trzeba tylko przejść obok tej choleryjnej jadalni, gdzie pacjenci jedli, oglądając "Teleexpres". Ale i to się okazało łatwe. Kiedy ostatnia kamera w szpitalu pokazała pacjenta już na werandzie, z tyłu podjechało na parking ciemne, opancerzone bmw. Kierowca włączył światła postojowe, zaciągnął ręczny, silnik puszczał na jałowym biegu i czekał. Ostatnia kamera, już parkingowa, zapisała jakieś pół minuty, kiedy oczom wszystkich ukazał się około trzydziestoletni mężczyzna, ubrany na sportowo, który podszedł do bmw o ciemnych szybach i coś powiedział przez okno do kierowcy, a ten coś odpowiedział. Następnie kierowca wysiadł, wziął bagaż, wsadził do bagażnika, po czym otworzył tylne prawe drzwi i gestem zaprosił mężczyznę do wnętrza. Drzwi się zamknęły, auto powoli bardzo ruszyło, objechało raz jeszcze parking, potem ruszyło w kierunku biało-czerwonego szlabanu, który otworzono natychmiast. Auto podjechało do skrzyżowania ze Szpitalną, kierowca włączył prawy kierunkowskaz i po chwili samochód znikł w alei przycementarnej, całej wysadzonej przekwitłymi już kasztanami. Jeszcze z daleka widać było mały, czerwony punkcik, jednak z czasem i on zniknął na horyzoncie...

Minęło kilka dni, w czasie których zdążono prawie zapomnieć o pacjencie, nagle zabranym do innego miasta w nie do końca jasnych okolicznościach. Prawie, bo po tygodniu przypomniał sobie o nim ordynator. Jak potem mówił, chciał "tylko" sprawdzić, czy w nowym miejscu pacjent czuje się dobrze, nie dzieje się mu krzywda, a lekarze dokładają starań, aby wszystko przebiegało pomyślnie. Kłopoty zaczęły się chyba już w momencie, kiedy pacjent znowu jak żywy stanął przed oczami ordynatora. Siedząc z nogami na biurku, uświadomił sobie bowiem, że niewiele w sumie się dowiedział o chorobie mężczyzny, jego przeszłości i historii życia. Tak się składało, że lekarze prowadzący wiedzą nieco więcej, ale też po łebkach. Nie mają czasu ani sił, które zżera administracja i praca papierkowa. Zamiast leczyć, wypełniają formularze, jak w prozie Franza Kafki. Formularze te tworzą nigdzie nie zaczynający się i nie kończący korytarz bez wyjścia. Kto raz wszedł w maszynę, nigdy stamtąd nie wychodził. Dlatego postanowił sprawdzić, co trzeba i w tym celu wezwał znowu Olę. Weszła z pytającą miną, a wtedy rzekł: - Słuchaj, trochę się niepokoję o tego twojego pacjenta, Rafała, wiesz, tego, którego nam stolica zabrała w zeszłym

tygodniu. Trzeba by tam zadzwonić. - Nie ma sprawy, znajdę telefon i spróbuję wypytać. - Tak, a spytaj, czy wdrożyli już to eksperymentalne leczenie, jak na nie reaguje, jak się czuje, wiesz, wszystko, co się da. Ja już dziś nie zdążę, mam sporo roboty. - z miną winowajcy obrócił wzrok ku Oli, która zapewniła, że przyjrzy się sprawie i w razie czego ściągnie pacjenta z powrotem. Potem wyszła, a nogi ordynatora ponownie znalazły się na dużym, dębowym chyba biurku. Od południa znowu szła burza. Grzmiało, za oknem zrywały się porywy wściekłego wiatru, a pierwsze krople zderzały się z gałęziami drzew, które przylatywały się do okna gabinetu ordynatora w szpitalu dla umysłowo chorych na ulicy Szpitalnej 27...

Ordynator jednak stawał się coraz bardziej niespokojny. Musiał coś zrobić, nie czekać z nogami założonymi o blat. Bezczynność pacjentów wzmagala tylko jego aktywizm życiowy. Otworzył zaraz po wyjściu lekarki komputer, myszką kliknął ikonkę "Internet Explorer" i wpisał dane szpitala w Warszawie. Po chwili wyskoczył mu numer stacjonarny do centrali głównej. Wylogował się, zapisał numer i wzięwszy słuchawkę, wykręcił cyfry. Kilka głuchych dźwięków i po chwili z drugiej strony kabla odezwał się merytoryczny głos recepcjonistki. - Tu centrala instytutu psychiatrii i neurologii w Warszawie, w czym mogę pomóc? - Mówi ordynator szpitala w Poznaniu ze Szpitalnej. Chciałbym rozmawiać z doktorem Żuławskim. - Z kim? - Z doktorem Żuławskim, Andrzejem Żuławskim. Kilka dni temu gościł w naszym ośrodku. - Niestety, od kilku lat już nie pracuje tutaj. Ordynatora przebiegł dreszcz. - Jak mam to rozumieć? - Był wybitnym specjalistą, także neurochirurgiem, jak pewnie pan wie. Jakies pięć lat temu przeżył osobistą tragedię. Zwolnił się wtedy. Podobno wyjechał za granicę. Miał w planach otworzyć ośrodek badań nad zdolnościami paranormalnymi. Nikt z nas nie wie, gdzie się obecnie znajduje. Ordynator zapytał jeszcze, czy szpital przyjął kilka dni temu, dokładnie tydzień temu, jakiegoś nowego pacjenta, ale uzyskał odpowiedź negatywną. - Nie, nie było żadnych nowych przyjęć. Zbliżają się jednak wakacje, okres dopalaczy, spodziewamy się więc gości, że tak powiem. Ordynator struchlał, ale nic nie odpowiedział. Podziękował i rozłączył się. Natychmiast wezwał Olę w trybie pilnym przez pager'a. Wchodząc, ujrzała tylko straszne, puste oczy ordynatora. -Ola, mamy problem. Poważny problem...

Przez sekundę panowała cisza, ale inicjatywę przejęła przybyła lekarka. - Próbowałam dodzwonić się do szpitala, jednak... - Już dzwoniłem - wszedł w słowo ordynator. - Ola, musimy chyba zgłosić na policję. Żuławski od kilku lat nie pracuje w Instytucie. I nie przyjęto żadnego nowego pacjenta. Coś się stało? - Masz telefon do tego Żuławskiego? - Zostawił, spróbuję. Wziął telefon i wykręcił numer. "Po sygnale nagraj wiadomość" - odezwała się słuchawka. - Nic z tego. Albo jest poza zasięgiem, albo ma wyłączony telefon. Dzwonię na policję, nie ma rady. - Poczekaj. Ostatecznie nic się jeszcze nie stało. - Jak to? Żuławski przedstawił się jako obecny pracownik placówki. I pewnie miał lewe papiery. Zabrał ciężko chorego pacjenta i nie wiadomo, dokąd go zawiózł. Trzeba było wcześniej... Muszę zgłosić. Znowu wziął słuchawkę, która tymczasem umilkła i poczekał na połączenie z uniwersalnym numerem alarmowym 112. - Tu Komenda Rejonowa Policji Poznań-Grunwald. W czym mogę pomóc? - głos dyżurnego policjanta był rzeczowy podobnie jak głos recepcjonistki z centrali warszawskiego instytutu. - Mówi ordynator oddziału "B" ze szpitala neuropsychiatrycznego w Poznaniu. Chciałbym zgłosić zaginięcie. Nastąpiły rzeczowe i krótkie komendy, pytania i odpowiedzi, które padały szybko jak razy pejcem. Kiedy dyżurny wszystko zapisał, pouczył, że w tym momencie uruchomione zostają operacyjne procedury, standardowo stosowane w przypadkach telefonicznych zgłoszeń o zaginięciu osób, jednak dobrze by było, aby ordynator osobiście pofatygował się na komendę, żeby potwierdzić zgłoszenie, jak również na bieżąco uzyskiwać najnowsze informacje z policyjnego dochodzenia, jakie w tej chwili zostało podjęte. Or-

dynator odpowiedział, że niezwłocznie się stawi, a wtedy komendant podał adres i swoje stanowisko służbowe, po czym rozłączył się. - Zgłosiłem. - niepotrzebnie powiedział do lekarki, która cały czas była w myślowym wirażu i starała się za wszelką zrozumieć coś z tego, co się dzieje. - Ok. - wydusiła. - Tak trzeba było zrobić. Ale mam jeszcze inny pomysł...

Kiedy ordynator podniósł pytająco wzrok, lekarka pospieszyła z wyjaśnieniami. Po co, dowodziła, czekać, aż policja coś zrobi. Wiedzą przecież oboje dobrze, że rutynowe śledztwa trwają bardzo długo, wloką się niemiłosiernie, a na końcu są umarzone, co nie daj Boże. Powinniśmy, mówiła, zaangażować jeszcze kogoś. Najlepiej prywatną agencję detektywistyczną, albo prywatnego detektywa frilansera. - Ale nie mamy na to budżetu. - w głosie ordynatora nadzieja mieszała się z obawami. - W naszym obopólnym interesie jest jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę. Inaczej oboje bekniemy - powiedziała bez ogródek, a ordynator zaczął bębnić palcami po blacie. - Słuchaj, a jakby tak spróbować zadzwonić do pacjenta? Mamy jego telefon. Najgorsze, że nie powiadomiliśmy w ogóle rodziny o przeniesieniu. I teraz musimy to zrobić. - Jeszcze nie. Rodzina do tej pory była nastawiona roszczeniowo i z jego opowieści wiemy, że przed chorobą raczej się nim nie interesowała w stopniu, jakiego wymagają osoby o słabszej psychice. Dzwonię. Wzięła słuchawkę i czekała na połączenie. "Abonent czasowo niedostępny" - zawyła słuchawka, a zrezygnowana Ola wcisnęła czerwony przycisk. - Niedostępny... - Coraz bardziej mi się to wszystko nie podoba...te nagle przenosiny, w końcu dokąd go zabrali, skoro nie do szpitala? Do prywatnej lecznicy? W Rosji? - Spokojnie, ostatecznie Żuławski jest lekarzem i składał przysięgę Hipokratesa, a to, że nie pracuje tam, gdzie podawał różnie można tłumaczyć. Niekoniecznie na jego niekorzyść. Może zawiózł pacjenta do jakiejś prywatnej placówki... - Albo zakopał w lesie - wybuchł ordynator. - Daj spokój, od razu czarne myśli. - Zaraz cały oddział będzie tylko o tym mówił - kontynuował. - Rozejdzie się do mediów i leżymy. - Dlatego nie wolno informować póki co rodziny. Jak się spytają, gdzie jest pacjent, powołamy się na fakt, że jest dorosły i nie jest ubezwłasnowolniony. Tajemnica lekarska. Został przeniesiony i już. - I tak się kapną. Zadzwonią do niego albo do Warszawy i pocałują klamkę, a wtedy afera gotowa. - Zgłosiliśmy na policję. Oficjalnie nic więcej nie mogliśmy zrobić. Żuławski i jego towarzyszy przedstawili nie budzące podejrzeń dokumenty. Było pismo z ministerstwa zdrowia, że pacjent, zresztą sam o to prosił, został zakwalifikowany do III etapu badań i tyle. Trudno było z góry coś zakładać. - Dobra, z tym detektywem to dobry pomysł. Pokryję koszty od siebie. - Pół na pół. I telefon do przyjaciela... - próbowała zażartować Ola, ale na twarzy ordynatora nic prócz strachu się nie malowało.

Wyjął ponownie telefon i połączył się z jednym z biur detektywistycznych, świadczących także usługi ochrony osób i mienia. - Prywatna agencja detektywistyczna Sekretcy&Spółka, czym mogę służyć? - głos w słuchawce ordynatorowi wydał się godny zaufania. - Dzień dobry, ja mam sprawę dla państwa. Chodzi o zaginięcie, a dokładniej podejrzenie zaginięcia, w tym możliwość porwania. - O kogo chodzi? - Mężczyzna młody, cierpiący na psychozę, był leczony w szpitalu psychiatrycznym ostatnio... - ordynator starał się za wszelką cenę zachować anonimowość. - A kto zgłasza? - Czy konieczne jest podanie nazwiska? - Póki co nie. Potrzebne będą nam jednak szczegółowe dane, abyśmy mogli zacząć działać. Czy może pan przyjść do naszego biura jeszcze dziś? W takich sprawach liczy się czas. - głos był w tym momencie wymagający, nie znoszący sprzeciwu. - Oczywiście. Proszę przyjść pod wskazany na naszej stronie adres stosowny dla pana miejsca zamieszkania. Tam jest wykaz. Proponuję godzinę 17. - W porządku. - ordynator odetchnął z ulgą i wyłączył wreszcie komórkę. Ola, która międzyczasie wyszła, wróciła i przyniosła najnowsze wieści z oddziału. Nikt nic nie wie. Wszystko jest w porządku. Wydaje się, że już

zapomniano o pacjencie z południa.

Tak, może oddział zapomniał o pacjencie z południa, ale nie ordynator. Skończył wcześniej robotę, oddział zdał Oli i wyszedł do biura. Tam jak najzwyczajniej przedstawił sprawę. Początkowo chciał zachować anonimowość, ale kiedy zobaczył fachowy i bogaty wystrój wnętrza gabinetu szefa firmy Sekretcy&Spółka, doszedł do wniosku, że zachowają tajemnicę zawodową i nic nie przedostanie się do prasy. Dlatego opowiedział o wizycie Żuławskiego i jego kolegi, o nie budzących wątpliwości papierach, wykonanych telefonach oraz o samym pacjencie. Wyznał, że w sprawę wtajemniczył policję, ale wie pan, jak działa ją służby mundurowe. Na pytanie, kiedy po raz ostatni widział pacjenta i Żuławskiego udzielił dość szczegółowej odpowiedzi. Zapewnił, że zabezpieczy monitoring ze szpitalnych kamer, wszak tam powinno być zarejestrowane wyjście i odjazd pacjenta, po którego miał przybyć nieoznakowany radiowóz. Wydało mu się to dziwne, ale Żuławski tłumaczył, że takie są zalecenia stojących wyżej od niego i tak będzie bezpieczniej. Kiedy opowiedział wszystko, pożegnał się i wyszedł, zapewniając o poparciu i ułatwieniach szpitala w podjętym właśnie śledztwie prywatnej firmy detektywistycznej. Poprosił jeszcze na koniec o codzienne raporty i zapłacił tysiąc złotych zaliczki. Trzeba na paliwo, ewentualne podsłuchy, zdobycie bilingów rozmów, pan wie, to wszystko kosztuje. Ech, cóż dziś nie kosztuje - pomyślał ordynator, zamykając delikatnie za sobą mahoniowe drzwi gabinetu szefa detektywów.

Znowu, jak to przeważnie bywa, minęło kilka dni, w czasie których biuro rozkręcało śledztwo, podczas gdy policja działała własnym torem, nie wiedząc o sobie nawzajem. Następnego dnia po wizycie w biurze, ordynator otrzymał telefon, że z zabezpieczonych jeszcze tego samego dnia kamer pobrano obraz wychodzącego przez ogród koło basenu na parking pacjenta, który następnie wsiadł w granatowe bmw z przyciemnianymi szybami i odjechał w nim, skręcając jak na Pniewy, gdzie stoi sanktuarium Urszuli Ledóchowskiej. Zanalizowano też bilingi ostatnich rozmów pacjenta z jego telefonu, a obecnie biuro stara się o bilingi z aparatu Żuławskiego. Kolejnym tropem jest Internet, gdzie prześledzono losy lekarza z ostatnich dziesięciu lat. Okazuje się, że co prawda po stracie dziecka wyjechał za granicę, ale wrócił po roku i w miejscowości, właśnie ustalanej, mieszczącej się gdzieś na Dolnym Śląsku, otworzył centrum badań nad zdolnościami paranormalnymi, gdzie przyjmował niezwykłych pacjentów. Jak by tego było mało, zatrudnił się w prywatnej klinice neurologicznej, gdzie przeprowadzał skomplikowane operacje na mózgu. Wszczepiał pacjentom z chorobami takimi, jak Parkinson, drżenia, padaczka czy lekooporna nerwica anankastyczna elektrody i stymulatory, uzyskując podobno zachęcające efekty. To sprawiło, że oficjalnie został zatrudniony we Wrocławiu w klinice Neuro-Med, dokąd dzwonił. Z uzyskanych informacji wynika, że Żuławski jeszcze kilka dni temu był w pracy, jednak około tydzień temu nagle wziął wolne i powiedział, że jedzie na urlop. Z kliniki próbowano się z nim skontaktować - jak dotąd bezskutecznie. Telefon jest cały czas poza zasięgiem. Jak powiedział operator serwerowni sieci, w której medyk ma abonament, telefon wskazuje, jak gdyby był w innej strefie czasowej, co zdarza się na przykład podczas podróży za granicę, zwłaszcza do dalekich krajów azjatyckich czy Australii. Innymi słowy, nie można wykluczyć, że Żuławski ponownie wyemigrował...

Znowu przeminęło, jak z burzą, kilka dni, gdy tymczasem policja otrzymała ważną wiadomość. Oto na komisariat dla Warszawy-Południe zadzwonił dyrektor szpitala psychiatrycznego w pobliskich, oddalonych kilkanaście kilometrów na południowy-wschód Tworkach. Dyżurny z komendy zanotował, że

poprzedniego dnia przywieziono do szpitala w rzeczonyj miejscowości młodego pacjenta w bardzo ciężkim stanie. Ponieważ jego relacja, z trudem złożona w całość przez badających go psychiatrów, zawiera niepokojące wątki, które mogą zainteresować policję, stąd telefon ze zgłoszeniem, co dyrektor uznaje za swój zawodowo-społeczny obowiązek. Dyżurny natychmiast wysłał funkcjonariusza do Tworek, ponieważ podana przez pacjenta opowieść może narazić go nawet na utratę życia. Międzyczasie centrum osób zaginionych zostało przez komisariat warszawski o odnalezieniu pacjenta, odwołano więc poznański alert, rozpoczęty kilka dni wcześniej. Jako, że policja nie wie o działaniach Sekretcy&Spółka, międzyczasie podjętych, więc biuro nadal prowadzi śledztwo.

Szpital Neuropsychiatryczny w Tworkach jak co dzień zbudził się wczesnym świtem. Niektórzy pacjenci mieli mierzenie temperatury, inni jakieś specjalne zabiegi, jeszcze inni nie mogli już spać i chcieli rozpocząć kolejny etap swej wędrówki po różnych światach, mniej lub bardziej rzeczywistych. Patrzono z politowaniem na tych, którzy jeszcze drzemali, jednym okiem czuwając z obawy przed spiskiem, a inni, ci już podleczeni, spali głęboko, jak niewinne niemowlę. Doktor Kobytyński miał tego dnia sporo pracy. Wcześniej przyjechał i od razu udał się do swego nowego gabinetu, bo szpital wciąż się rozwijał, mimo trudności i modernizował. Chciał dorównać co najmniej placówkom francuskim, gdzie zaczęła się rewolucja w traktowaniu pacjentów - Pinel symbolicznie zdjął im łańcuchy i kajdany w podziemiach szpitala Salpetriere w Paryżu, stolicy francuskiej rewolucji. Gabinet tedy wyposażono w sprzęt multimedialny najnowszej klasy AAA+, na ścianie wisiał projektor zespolony z laptotem, a w oknach widok zasłaniały żaluzje z jakiegoś niesamowitego materiału. Kobytyński jeszcze poprzedniego dnia miał bardzo trudne zadanie: asystował profesorom w przyjęciu i pierwszym przesłuchaniu, jeśli to dobrze brzmi, młodego mężczyzny, którego policja odnalazła w stanie "mocno odbiegającym od normy", jak zapisano w służbowej notatce niedaleko Tworek na drodze krajowej nr 7 z Radomia. Policja sprawdziła go alko-matem - był czysty jak niemowlę, wykonano badanie krwi na obecność substancji odurzających - również pudło. Na komisariacie dowiedziano się jedynie, że pacjent "siedzi w samochodzie, a wokół jest jakoś dziwnie, dziwni ludzie i w ogóle wszystko jakieś inne", podczas gdy pacjent co prawda siedział, ale na komendzie. Potem zaczął krzyczeć, że "znowu ta szara mgła, znowu ta szara mgła, uciekam..." i na tym kontakt logiczny się urwał, albowiem od tej pory pacjent przeszedł w stan całkowitej sałaty słownej. Bełkocząc coś o "parowozie" i "chłopskim wozie", zamilkł wkrótce na dobre. Jednak po jakiejś godzinie trochę doszedł do siebie i wtedy jego opowieść nabrała innych odcieni. Oto jechał jakiś autem, z dwoma nieznanymi mężczyznami, którzy coś mu wszczepili w klinice, a potem pojechali w kierunku Opola. Tam nagle wjechali do lasu, a z przodu nadpłynęła srebrzysta mgła, spomiędzy której coś przebłyskiwało. Kiedy wyjechali z lasu, krajobraz był inny. Otaczały ich same pola i łąki, droga asfaltowa zmieniła się w aleję z kocich łbów, a ludzie idący z dalekiego kościoła brzegiem pól, byli bardzo biednie i co gorsza staro-świecko, jak w filmie, ubrani. Na widok samochodu tłum wpadł w panikę, kierowca więc pocisnął na gaz i wtedy z boku nadjechał sapiąc parowóz, który zaczął ostro hamować. Przerażeni mężczyźni wyskoczyli z auta, które stoczyło się na szczęście nieco w tył, tak, że skład przejechał bezpiecznie, dymiąc niemiłosiernie białymi obłokami. Mężczyzna niewiele myśląc wskoczył za kierownicę. Wcisnął gaz i ruszył przez tory, by znaleźć się w jakimś miasteczku. Z jego opisu wynika, że odwiedził Opole, ale zupełnie nie to obecne. Pikanterii faktom dodaje sprawa z mężczyznami, z których jeden miał nazywać się Żuławski i być znanym warszawskim medykiem. Policja sprawdziła i okazało się, że faktycznie od kilku dni lekarz przebywa na urlopie, a jego telefon milczy jakby był poza zasięgiem. Ponieważ pacjent znowu wpadł w afazję i zaczął bełkotać, policja uznała całą opowieść za relację niepoczytalnego, w dodatku podejrzanego w sprawie zaginięcia dwóch towarzyszy. Najpierw jednak trzeba było doprowadzić pacjenta, który zeznał, że nazywa się Rafał, do względnej normy. Dlatego zamiast aresztowania, policja wezwała karetkę

pogotowia ratunkowego, które przewiozło go do szpitala w pobliskich Tworkach.

Przez pierwsze trzy dni pacjenta poddawano różnorodnym zabiegom leczniczym - polewano na przemian ciepłą i zimną wodą, kręcono specjalną karuzelą do omdlenia, przystawiano pijawki tudzież stosowano wstrząsy insulinowe, a potem na koniec podano mocne inhibitory receptora 5-HT_{2A}, żeby pacjent wrócił do względnego kontaktu ze światem. Psycholodzy robili wszystko, żeby dowiedzieć się, co naprawdę zdarzyło się pomiędzy wypisem z Poznania, a odnalezieniem go w ciężkim stanie niemal na środku drogi ekspresowej w lekko uszkodzonym bmw, ze śladami, jak po przejściu mocnego gradu. Pewnego dnia jeden z młodych asystentów psychologii, Robert, postanowił jednak coś wyciągnąć z wnętrza tego chaosu, jakim była nieskładna opowieść pacjenta. W umówionym czasie przyszedł, aby zrobić codzienny wywiad. Delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi lekko zaskrzypiały. Kiedy ujrzał pacjenta, który siedział na krześle ze szkolnej ławki, najpierw dotarł do niego obraz zabiedzonego człowieka, ledwie kontaktującego, pogrążonego w mamrotanej pod nosem mantrze. “- O Jezu...o Jezu...ratuj ich...ratuj ich...ty wszystko...podaża za tobą morze...ptaki na mojej głowie...ptaki...słowie...” - więc domyślił, że się inhibitory ani kąpiele w specjalnym basenie niewiele jeszcze pomogły. Postanowił poczekać. Przywitał się, na co pacjent niedbale wyciągnął rękę, ale nie wiedzieć czemu lewą, potem burknął w odpowiedzi: “Czuwaj!” - i dalej powrócił do swoich różańcy. Teraz wzywał Matkę Boską, której powierzał losy dwóch zaginionych razem z nim nieopodal Opola mężczyzn. Nikt dotąd nie trafił na ich ślad. Policja wszczęła dochodzenie ze zgłoszenia Neuro-Medu, kiedy po upływie urlopu Żuławski nie stawiał się do pracy, ani w żaden sposób nie skontaktował z kliniką. Biuro “Sekrety&Spółka”, na wyłączną prośbę ordynatora, postanowiło również włączyć się do akcji, ponieważ sprawa dotyczyła, przynajmniej pośrednio, pacjenta, pierwotnie leczonego w Poznaniu, a teraz szło o podejrzenie nawet morderstwa. Tłumaczyłoby to nieskładne wyjaśnienia, zarysowania na samochodzie bmw, a także niektóre inne wątki, wysnuwane przez podopiecznego szpitala w Tworkach, jak choćby jego ewidentne poczucie winy, zwane w psychiatrii “masywnym”. Może pacjent przestraszył się przeprowadzonego zabiegu? Przecież nikt z oddziału nie wierzył w ani jedno słowo relacji o podróży do roku 1907 i spotkaniu z lokomotywą parową, podobnie jak o ponowionej opowieści o przejechaniu blisko trzystu kilometrów w kilka minut, zanim pacjent trafił na malowniczo się wijącą ulicę Szpitalną 27, tudzież o udanym przejeździe na prawie pustym baku ostatnich stu kilometrów z miejscowości Sobótka, gdzie miał miejsce ów fatalny w skutkach nocleg. Psycholog Robert, któremu jeszcze się chciało, a już miał pewne doświadczenie z trudnymi przypadkami, znał te wszystkie relacje i tłumaczył je sobie po części wiedzą akademicką ze swojej dziedziny, a po części na swój własny sposób. Kiedy usiadł, nic nie powiedział, tylko czekał. Pacjent, pogrążony w jakimś innym czasie, zdawał się odpływać od głównego nurtu życia. Coraz bardziej oddalał się. Było to prawie odczuwalne w powietrzu. Teraz, gdy siedzieli obydwoj naprzeciw siebie, nie można było zrozumieć, na co czeka psycholog. Może miał nadzieję, że pacjent zacznie kontaktować? Może stosował jakieś swoje sztuczki? Okno, które wychodziło na zachód, mieniło się od zachodzącej czerwonej kuli. Idzie na wiatr - pomyślał Robert. Trzeba będzie pozamykać okna w mieszkaniu - uzupełnił nagle pacjent, a wtedy psycholog kompletnie zbaraniał...

Tymczasem “Sekrety&Spółka” otrzymali szczegółowe informacje o opowieści pacjenta. Nadal nie trafiono na ślad Żuławskiego i towarzysza. Telefony obu panów zachowywały się tak, jak gdyby przebywały poza zasięgiem czasu lokalnego w zupełnie egzotycznej strefie czasowej. Do tego stopnia, że nie można było nawet nagrać wiadomości na pocztę głosową ani namierzyć za pomocą sygnału satelitarnego

miejsca, gdzie telefony fizycznie się znajdują. Kolejnego dnia nie wydarzyło się nic. Szef wysłał pracowników na całą Polskę, obstawiono wszystkie regiony, ze szczególnym naciskiem na Dolny Śląsk, miejsce zamieszkania i ostatniej pracy neurologa. Biuro odwołało wszystkie inne pomniejszych zlecenia, w rodzaju "proszę sprawdzić, gdzie on jeździ wieczorami" czy też "niech pan namierzy moją żonę, bo coś mi się zdaje, że ma kogoś". Skupiono się tylko na wciąż zagadkowej sprawie odnalezienia pacjenta R. i jednoczesnego zaginięcia Żuławskiego. Pewnego dnia do gabinetu szefa wszedł jeden z najlepszych pracowników firmy. - Chyba coś mam - powiedział i położył na stole niewielką, szarą paczkę. Szef rozwinął ją i wyciągnął plik mocno pożółkłego papieru, formatu A4. Były to stare wydania "Gazety Opolskiej" i "Gońca Opolskiego" z roku 1907, a więc sprzed obu wojen światowych, a dwa lata po krwawej niedzieli w Petersburgu. - Niech pan przeczyta to - wskazał jedną z gazet, otworzoną na stronie tytułowej. Kiedy szef przeczytał pierwsze zdania i nagłówek wiadomości sprzed wieku, osłupiał. Nagłówek brzmiał: "Niezwyczajni goście w Opolu. Cud czy przebierańcy?". Spojrzał prosto przed siebie, jakby zobaczył ducha, który właśnie przed momentem uległ materializacji. Pracownik stał w milczeniu. - Skąd pan to znalazł? - szefowi pomieszała się gramatyka. Pracownik stał w milczeniu. - To proste. Każde miasto posiada archiwum miejskie. Założyłem, że - co bardzo mało możliwe - jeżeli pacjent mówi prawdę, to powinien zostać po tym zdarzeniu jakiś namacalny ślad. Poprosiłem o wyciąg wszystkich mikrofilmów z tamtych lat. No i coś mamy... - dodał zupełnie skromnie, bez cienia zarozumiałości, jak przystało na pracownika najlepszej agencji w mieście. - Niech mnie pan zostawi samego - powiedział szef i szybko zaczął studiować notatkę.

Psycholog zbaraniał, kiedy usłyszał od pacjenta, że "trzeba będzie pozamykać wszystkie okna w mieszkaniu", albowiem właśnie tak sobie powiedział w duchu, aby zabić czas, gdy czerwona kula wisiała nad szpitalnym ogrodem zakładu dla obłąkanych w mazowieckich Tworkach. Pacjent oprzytomniał w try miga. Psycholog widział, jak mętne i błędne dotąd spojrzenie R. nagle stało się trzeźwe, jak po nocy przespanej po suto zakrapianym wieczorze przez nałogowego AA. Siedział teraz naprzeciwko zupełnie o zdrowych zmysłach, na co psychologa, który widział już co prawda wiele, ale widocznie nie wszystko, zdjął prawie pobożny strach. Gdzieś tam z tyłu głowy pałętały się przecież wciąż stare pojęcia, pochowane wstydliwie, jak pamiątki po prababce w piwnicach nieświadomości. Były to pojęcia niegdyś powszechnie używane, jak "obłąd", "szaleństwo" czy mityczna i rzekoma całkowicie niepoczytalność pacjentów w czynach i mowie. Nigdy też nie zdarzyło się, żeby pacjent, który jeszcze pół minuty wcześniej był nieprzytomny, pogrążony w nierealności, ot tak po prostu wyzdrowiał. Psycholog zaczął tedy powątpiewać w duchu, jak Piotr idący po jeziorze, dlatego zaraz zaczął tonąć w swoich myślach. "- Chyba się musiałem przesłyszeć..." - zaczął, ale pacjent nie pozwolił dokończyć, bo z jego ust padły słowa, które nie miały wcale prawa paść nie tylko w świecie normalnych, ale nawet tu, w wariatkowie. - Nie przesłyszał się pan. Opowiem panu, co się zdarzyło. Wiem, że pan mi nie uwierzy, ale to i tak nie ma teraz większego znaczenia. - ciągnął R., którego styl stał się o wiele bardziej czysty niż był jeszcze piętnaście minut wcześniej. Psycholog na to wstał i powiedział: - Proszę tu poczekać. Zaraz przyjdę.- po czym szybko otworzył drzwi i ruszył przed siebie korytarzem niczym stado pocziwych wieprzy po zboczach jeziora Genezaret. Pacjent spojrzał przytomnie za okno. "- Naprawdę powinien dziś pozamykać wszystkie okna..." - po czym wewnętrznie zgłuszył myśli i obserwował, jak na horyzoncie nadciąga stado stalowych i buro-sinych chmur. W oddali, pomiędzy wysokich, mocnych drzew parkowych i dalekiego lasu mazowieckich pól i pastwisk, błysnęło. Po chwili odezwał się pomruk czerwcowej burzy, a słońce jakby przygasło. Błede cienie wyszły pomiędzy drzew i krzewów, by zacząć swój przedwieczorny taniec o zmierzchu. Zaczęło się ściemniać...

Szef biura detektywów pochłonięty został całkowicie przez czytanie przyniesionych mu materiałów. Nie docierały do niego żadne bodźce z zewnątrz. Telefon wył na biurku jak opętany, więc został mocnym uderzeniem pięści przywołany do porządku dziennego, czyli milczenia. Komórka szczekająca w prawej zawsze kieszeni sztruksowych spodni otrzymała cios w to samo miejsce i wyłączyła się na dobre. Laptop odpłynął gdzieś w siną dal, a szum ksero, dochodzący zza przeszklonych drzwi dochodził jak szum dalekiego wodospadu w lesie albo szum morza słyszany przez zabłąkanego turystę-włóczęgę, który wynajął ostatni wolny pokój przed nadejściem zmierzchu i teraz przytulony do poduszki ogląda filmiki z całego dnia. Rano się rozejrzy, póki co wystarczy ten boski szum w tle. Najpierw przeczytał tytułowy artykuł z "Gazety Opolskiej" datowany na 21 czerwca 1907 roku pod tytułem "Niezwyczajni goście w Opolu. Cud czy przebierańcy?". Anonimowy autor, podpisany jako "a.a." pisał, że "przedwczoraj na rogatkach miejskich idącym z kościoła ludziom ukazał się niecodzienny widok. Oto niedaleko opłotków, w pobliżu przejazdu kolei żelaznych, nadjechał dziwny pojazd. Nikt ze świadków nie wie dokładnie, która była godzina, ani skąd automobil nadjechał. Miał tak, jak zwykłe automobile cztery koła, ale zamiast drewnianych szprych, co byłoby zrozumiałe, miał jakieś żelazo w środku obleczone czarnym jak smoła materiałem. Na górze zaś zamiast szoferki zwyczajnie wyglądającej był niski, spłaszczony, z pochyleniem z przodu, w którym wstawiono szybę lśniącą jak woda oświetlona przez mocne słońce. W pojeździe znajdowało się trzech ubranych po cudzoziemsku mężczyzn, z których na widok nadjeżdżającego parowozu dwóch wyskoczyło i zaczęło uciekać przez pobliskie pola w stronę wsi, a trzeci zdołał umknąć niechybnej śmierci, wskakując za koło i ruszając ostro wstecz. Zarówno automobil, któremu udało się zrobić niezbyt czytelną fotografię przez przypadkowo pracującego w plenerze fotoamatora, jak i dwójka uciekinierów zbiegło. Po raz ostatni widziano automobil zawracający z niesamowitym pyłem i kurzem w kierunku lasu, skąd wedle niektórych pytanych się zjawiał, po czym ślad wszelki po nim zaginął. Niektórzy spośród mężczyzn, co bardziej krzepkich i w sile wieku ruszyło w pogoń za mężczyznami, jednak po kilkuset metrach okazali się szybsi. Trwają przesłuchania kolejnych świadków, przybywających do policji, którzy mieli widzieć opisaną dwójkę w okolicach przedmieść opolskich, jednak w większości są to kobiety, którym policja zbytniej wiary nie daje. Kto spotkał lub spotka nieznaną mężczyznę, ubraną jakby z cudzoziemska, niech uważa, mogą to być bowiem groźni, poszukiwani od dawna przebierańcy albo złoczyńcy. /a.a./

Kiedy szef doczytał do końca, przewrócił stronę gazety i doznał wstrząsu. Na stronie drugiej przedrukowano bardzo niewyraźne, czarno-białe zdjęcie samochodu Żuławskiego w momencie, gdy omal nie został rozjechany przez pędzący parowóz. Wziął lupę. Zbliżył oko do fotografii, lecz zdjęcie miało fatalną jakość i niską rozdzielczość, same ziarna. Jednak uchwycił jeden szczegół. Był to początek numeru rejestracyjnego auta, który zaczynał się na "WD 279..". Był to taki sam numer, jaki zarejestrował szpitalny monitoring ośrodka dla biednych na umyśle na parkingu owego feralnego dnia, gdy odjechał R. z parkingu przy ulicy Szpitalnej 27 na poznańskiej Ławicy. Szef odłożył gazetę, drugiej nie miał już ochoty przeglądać. Wiedział, że musi teraz coś zrobić. Jednak czuł w sobie tylko tępy, pusty ból jak wtedy, gdy człowiek biegnie z całej mocy po peronie, a z daleka widać tylko oddalające się tylne światła jedyne w życiu pociągu, na który się po raz pierwszy spóźnił...

W tym mniej więcej czasowym wymiarze wielkimi, pamiętającymi nie tylko Krzysztonia, ale i secesję korytarzami szpitala neuropsychiatrycznego w urokliwych Tworkach biegł prawie, a nie szedł, psycholog Robert, który widział co prawda wiele, ale jeszcze czegoś takiego nie. Nie mógł pojąć i nie mieściło się to

w jego porządku teoretycznym, że przychodzi na spotkanie ze splątany pacjentem, a w kilkanaście minut później ów siedzi o przytomnym umyśle i zdrowych na nowo zmysłach i na dodatek przejawia wszelkie oznaki jeśli nie zwykłego geniuszu, co rzadkiej, ale nadzwyczaj efektownej wybitności. Można to przypisywać tym paru dniom, wczesnym wschodom i późnym zachodom tej rubinowej kuli, tudzież leczniczym właściwościom, znanym wtajemniczonym w materię dendrologom, a na koniec temu, że prawdopodobnie przypadkowo zaczął działać lek. Jednak wiedział dobrze, że nawet po lekach najnowszej, III już generacji, efekty terapii nie są tak spektakularne, jak te spisane mozolnie w starożytnych przekazach, które jakimś cudem przetrwały wszelkie burze, zawirowania dziejów i głoszą o człowieku coś, czego już, albo jeszcze nie przetrwała akademicka nauka o "duszy". To mocno wstydlive słowo - psyche - zatraciło swoje odcienie i wszędzie dziś dodaje się nieoddzielny przedrostek "neuro". Człowiek zredukowany do sieci, prawda, że cudownej, ale jednak tylko gęstej autostrady i ekspresówek neuronów, które czasami się korkują i wtedy człowiek potrzebuje chemii. I nic poza tym. Cóż my wiemy, co jest w człowieku - myślało się teraz bardziej w trybie biernym niż czynnym wystraszonemu psychologowi, kiedy pukał odważnie do gabinetu doktora Kobytyńskiego. Ów przyszedł tego dnia wcześniej do pracy, klnąc na miejskie i przedmiejskie korki na trasach wylotowych ze stolicy, gdzie dorobił się loftu w ultranowoczesnym apartamentowcu. Wystarczało, bo nadal i raczej z własnej woli pozostawał na pozycji recydywistów, o których śpiewnie opowiadał nieodżałowany Smoleń, niech lux eterna mu przyświeca. Kobytyński powiedział automatycznie "proszę", a po chwili już wiedział, że nie pozostanie, a dokładniej, że nie powinien absolutnie dłużej zamykać się w swojej papierkowej przeważnie robocie i że musi zobaczyć to, o czym niezdarnie opowiedział psycholog Robert na własne oczy. Obydwaj wyszli, wcześniej doktor narzucił już nie obowiązkowy, ale nadający nadal powagi chwilom tu spędzonym, biały, lekko znoszony kitel i ruszyli do pokoju, gdzie pacjent wpatrywał się za okno w coraz bliższe błyski i wsłuchiwał w groźne na pozór pomruki wieczornej, letniej burzy. Kiedy Kobytyński wszedł, przepuszczony przez psychologa do sali, rozejrzał się tylko bezradnie. W sali, w której kilka minut wcześniej przebywał pacjent, nie było teraz nikogo. Jeśli nie liczyć, zegarka, którego wskazówki zatrzymały się na godzinie, w której pacjent powiedział do psychologa, że trzeba pozamykać okna w mieszkaniu. Kobytyński podszedł do stołu i wziął zegarek, który w tej sekundzie znowu pokazał właściwą godzinę. - Co tu się dzieje? Gdzie jest pacjent? - bardziej pytał siebie niż Roberta, który stał w katatonicznej pozie i patrzył nieruchomo w jeden punkt. Było to otwarte okno, za którym rozpościerał się soczysty z dnia na dzień park. W sali tej jako jedynej nie zdążono jeszcze po modernizacji zamontować krat...

Detektyw stał w wyobraźni i patrzył na oddalające się tylne światła ostatniego wagonu. Postanowił coś zrobić. Nie znał dokładnie, co, ale był pewien, że to jest jakaś szansa. "-A jeśli ten fotograf sprzed stu lat naprawdę sfotografował samochód z Żuławskim i pacjentem?" Nie miał jeszcze takiej sprawy. Przecież, jeśli oni wszyscy naprawdę odwiedzili rok 1907 niedaleko Opola, to co tam w ogóle robili? Po co tam pojechali? Jeśli wrócił tylko pacjent, a dwaj pozostali na zawsze utknęli w czasie? Detektyw odpędzał natrętnie powracające jak letnie muchy myśli, ale im bardziej próbował wytłumaczyć sobie całą historię, tym głębiej wchodził w ciemny las. Nie, on nie mógł kropnąć tych dwóch, po pierwsze nie był już tak ciężko zaburzony po leczeniu szpitalnym, a nawet, jeśli oni go porwali, przeprowadzali jakieś eksperymenty, to i tak nie byłby w stanie. To jest mimo wszystko bardzo dobry, mądry i kulturalny młody człowiek, którego życie nie oszczędza. Żadna choroba nie powstaje ot tak na zawołanie - nie ma w tym niczyjej winy. Nikt nie zgrzeszył, ani on, ani jego rodzice... - mignęło mu w głowie i wtedy szef zrozumiał, że zaczyna wariować. "- Muszę solidnie wypocząć. Od kiedy pracuję non-stop? Zostawię wszystko w diabły i wyjadę gdzieś daleko nad morze. Mariolka się ucieszy, dzieciaki też..." - snuł plany. Pozostaje mieć nadzieję, że Żuławski się znajdzie i sam opowie o zdarzeniach sprzed tygodnia. Póki co należy

wzmóc czujność i jeszcze raz wysłać pracownika biura do Tworek, żeby przesłuchał pacjenta, może międzyczasie sobie co nieco przypomniał. No i samochód... trzeba dać go do przeglądu.

Psycholog jeszcze chwilę trwał jak urzeczony czymś niewidzialnym katatonik, zanim głos Kobytyńskiego nie przywołał go do rzeczywistości. - Uciekł. Zwiął. Cholera. A mówiłem dyrektorowi, żeby tę salę wyłączyć z zajęć... - To moja wina. Nie powinienem był zostawiać pacjenta samotnie w sali bez zabezpieczeń.... - Co teraz - panikował lekarz. - Trzeba szybko zadzwonić na ochronę, może jeszcze jest na terenie szpitala. - mówiąc to wykręcił numer komórki z pamięci i z drugiej strony odezwał się znudzony szef "Sekuro-medu", agencji ochraniającej od niedawna cały teren Tworek. - Słucham - głos dudnił jak ze studni w letnie popołudnie w zapadłej wsi. - Mówi doktor Kobytyński z oddziału męskiego. Przed chwilą uciekł pacjent. Lat 31, ubrany w dżinsy i sportową bluzę, nosił okulary w rogowej oprawie... blond włosy, oczy szare - opis był wyczerpujący, a zgrzytanie czegoś z drugiej strony świadczyło, że właściciel "Sekuro-medu" robi szybką notatkę. - Zrozumiałem. Zaraz wyślę patrol po szpitalu. - Gdyby okazało się, że już opuścił szpital, proszę... - Wiemy, co robić, spokojnie. Najczęściej pacjenci wracają jeszcze tego samego dnia. Dzięki nam... - ostatnia uwaga zabrzmiała trochę zarozumiale, bo przy okazji szef ochrony chciał podnieść jeszcze bardziej swoje notowania. - Dziękuję, informujcie mnie o wszystkim - warknął do słuchawki Kobytyński i wylogował się. - Cała nadzieja w tym facecie, on nieraz przywoził z miasta uciekinierów, najczęściej spod monopolowego, czasem z zakrapianej imprezy, raz spod kościoła... - perorował, żeby zagłuszyć niepokój, który rósł coraz bardziej. Psycholog badał tym czasem okno. - Musiał uciec przed kilkoma minutami, jeszcze chyba widać ślady na piasku między krzewami, o tam - wskazał i następnie zamknął szczelnie okno, po czym opuścili razem salę i dokładnie zamknęli ją ja klucz. - Chodźmy, obejdziemy park, może gdzieś jest niedaleko - zarządził doktor, a Robert otworzył główne, solidne drzwi wejściowe, jak do więzienia albo dawnego klasztoru gdzieś na zapadłej prowincji. Burza się zbliżała. Pierwsze krople słodkiej wody zaczęły spadać na glebę, zacierając po chwili, kiedy lunęło wszystkie możliwe ślady, które mógłby pozostawić zbiegły pacjent. Kiedy obeszli kilkaset metrów parku, a nikogo nie spotkali, postanowili schować się przed deszczem na oddziale. Nagle grzmot wałnął w pobliskie drzewo prawie jednocześnie z potężnym błyskiem. Sporej wielkości konar upadł w miejscu, gdzie przed chwilą przechodzili mężczyźni. Obejrzeni się. Ciemna ściana ulewy zasnuła bure niebo, jak w filmie apokaliptycznym. Wokół była ciemna, nieskończona pustka...

Przeminięły dwa dni, a pacjenta nadal nie udało się schwycić. Burza poszła na północny-wschód, w stronę Pelplina, gdzie stoi przepiękna, gotycka katedra, a w muzeum jest jeden z manuskryptów nutowych Bacha. Psycholog i Kobytyński powiadomili policję, kiedy "Securo-Med" oznajmiło, że psy mylą ślady, że deszcze zmyły wszelkie ślady i że nikt z pytanych na terenie szpitala i w terenie przylegającym nie widział pacjenta. Pytano w kaplicy - nic. Pytano w warzywniaku przy jednej z bram - pudło. Pacjenci nie widzieli nikogo podobnego, tak samo personel szpitalny i dostawcy różnych towarów i usług. Jedynym śladem był wciąż znaleziony na stole zegarek elektroniczny, ale cóż mógł pomóc, jeśli wszystko stracone. Trzeciego dnia od feralnej ucieczki szef "Sekretnych" w Poznaniu siedział w biurze i z nudów przeglądał jeszcze raz gazety sprzed wieku. Pracownik wysłany do Tworek niczego nie wskórał: nie zdążył dojechać, zanim pacjent dał dyla, został tylko przez jeden dzień, aby wesprzeć siły "Securo-Medu", bo ostatnio sporo osób wzięło zwolnienia lekarskie, wiedząc, że 80 % pensji z ZUS za friko jest lepsze niż 24 -godzinna wyrypa za niewiele większe pieniądze wypłacane co miesiąc. Kiedy wziął drugą z przyniesionych mu tydzień wcześniej przez pracownika gazet, "Gońca Opolskiego" zauważył, że na trzeciej stro-

nie znowu jest artykuł o przebierańcach. "Przebierańcy ponownie odwiedzili Opole" - grzmiał tytuł złowie szczo, a szef był zły na siebie, że wcześniej tego nie zauważył. Gazeta była z 28 czerwca 1907, a więc dokładnie tydzień później niż pierwsza notatka. Znowu telefon otrzymał solidny strzał w słuchawkę, podobny los spotkał wrzeszczącą na biurku słuchawkę telefonu stacjonarnego, a także laptopa, który na próżno informował zieloną chmurką o nadejściu nowej wiadomości. Zagłębił się w lekturę. I już przy pierwszych akapitach całkowicie zdębiał...

Samochód rzeczywiście udało się oddać do serwisu, aby go dokładnie zbadali. Kiedy "Sekretcy" otrzymali raport, byli jeszcze bardziej skonfundowani całą sytuacją: auto miało ślady przejścia przez potężne wyładowania atmosferyczne ("prawdopodobnie epicentrum burzy i gradu"), generujące wysokie poziomy pola elektromagnetycznego. "Jak się zdaje, auto dostało się w epicentrum wyładowań atmosferycznych o wysokiej mocy. Zbadano też urządzenia pokładowe - komputer był wyzerowany do resetu, a zegary wskazywały stale dzień 19 czerwca 1907 roku. Na oponach znaleziono mikropyłki roślin, charakterystyczne dla obszarów pld-zach. Polski. Również na oponach oraz dolnej części karoserii i podwozia wykryto śladowe ilości pyłów, kurzu i piasku. Artefakty te nie pochodzą bezpośrednio z czasów współczesnych. Analiza wykazała, że zarówno pyłki, jak i mikrokurz na karoserii musiały przebywać na niej bardzo długo - co najmniej dwadzieścia lat, bo zdążyły wnikać w warstwę lakieru i ustabilizować się." Co więcej, wszystkie badania wykazały, że samochód jest mocno namagnesowany - "jakby stał długi czas pod potężnym polem elektromagnetycznym". Wszystko to coraz bardziej wprawiało szefa biura w spory dysonans poznawczy. Nie wiedział, co ma robić. Od kiedy pracownik wysłany z misją do Tworek doniósł o samotnej ucieczce R., postanowił pokoiarzyć fakty już dostępne. Ale im bardziej starał się zrozumieć, tym dalej było do zrozumienia...

"Wczoraj po południu otrzymano informację, że opisywani tydzień temu przebierańcy, którzy mogą być niebezpiecznymi złodziejami albo wariatami, znowu zjawili się w okolicach przedmieść Opola. Jak donoszą świadkowie, tym razem widziano pojazd nieco mniejszy, cały czerwony jak pomidor, a w środku jednego z trzech obserwowanych mężczyzn. Auto nadjechało, jak poprzednio, od strony lasu, a szofer zwolnił na widok ludzi. Tym razem żaden skład nie nadjechał, więc kierowca zniknął w popłochu tłumu za zakrętem. Pojawiał się w różnych miejscach, w centrum miasta, na rogatkach, widziany przez trzeźwych i przytomnych na umyśle mieszkańców. Opowiadają, że pomysł automobilu pomalowanego na kolor czerwony wprowadziłby więcej życia do monotonnej czerni, a obłożenie szprych czymś podobnym do smoły, sprawiłoby, że noce byłyby pod oknami spokojniejsze, pozbawione harmideru i stukotu drewnianych obręczy. Kiedy ostatni raz widziano automobil, jeden z bardziej spostrzegawczych świadków zeznał, że nagle z tłumu wybiegł na drogę ten sam ubrany z cudzoziemska mężczyzna, który razem z drugim, opuściwszy w popłochu wnętrze automobilu, co tchu gnał przez pola, ratując się ucieczką od śmierci na szynach. Nagle automobil stanął jak koń w miejscu, ściągnięty batem, tamten podbiegł do drzwi bocznych, wskoczył szybko na miejsce pasażera, po czym auto znikło za zakrętem, gdzie świadków zabrakło. Uprasza się wszystkich, którzy przejęli się przebierańcami o nowe informacje i ostrzega przez dwójką uciekinierów. Kto wie, może uciekają przed sprawiedliwością, albo w tajemnicy próbują nowych wynalazków bez wiedzy odpowiednich władz i rządu." Notatka zastanowiła szefa. Pokoiarzywszy fakty, stwierdził, że opis może dotyczyć zdarzeń, których ciąg dalszy dopiero będzie miał miejsce. I to w najbliższym czasie...

Kiedy detektyw odłożył "Gońca Opolskiego", zadzwonił telefon. - Sekretcy&Spółka, słucham - automatycznie rzucił do słuchawki. - Pilne. Proszę przyjechać jak najszybciej do Łańcuta. Mówi dzielnicowy dla miasta Rzeszowa. Sprawa dotyczy prowadzonego przez pańskie biuro śledztwa. - Ale czy mógłby Pan coś... - próbował dowiedzieć się więcej, lecz głos z drugiej końcówki kabla był stanowczy. - To nie jest na telefon. Proszę jak najszybciej być w Łańcucie, podjedźcie pan na komisariat przy Mickiewicza, jedyny w okolicy. Proszę zabrać co najmniej jednego pracownika i najlepszy pojazd. Policja finansuje wszystko - wydawał komendy jak strzały z karabinu mocny, męski głos na ucho około czterdziestolatka. - Dobrze, za kwadrans wyruszamy. - Monitorujemy was satelitarnie, wyłącznie dla waszego bezpieczeństwa. W razie jakiegokolwiek zagrożenia proszę zjechać na najbliższą stację paliw lub jakiegokolwiek pensjonatu i tam poczekać. - Zrozumiałem - odparł szef, ale z drugiej strony słychać było już tylko głuchy sygnał rozłączenia. Wtedy przestał myśleć. Wstał zza biurka jak automat, albo marionetka w teatrze lalek. Niczym sterowany zdalnie za pomocą pilota, zebrał najbardziej potrzebne rzeczy, po czym wcisnął czerwony przycisk pod blatem stołu. Natychmiast w drzwiach stanął jak zjawia pracownik, który zrobił prasówkę. - Za kwadrans wyjeżdżamy prosto do Łańcuta. Proszę nikomu nie mówić i podstawić rollsa. Sprawa jest bardzo poufna - tłumaczył szef do niczemu nie dziwiącemu się ochroniarzowi. Z zawodową miną bez słowa zamknął drzwi i zniknął w głębi korytarza.

W niecałe piętnaście minut później ciemny rolls-royce został zarejestrowany przez firmowy monitoring w momencie, kiedy opuszczał służbowy parking. Kamera ukazała tylne, rubinowe światła oraz włączony prawy kierunkowskaz. Skręcili w kierunku Komornik, udając się trasą nr 5 dalej na pół-zach w stronę Wrocławia. Zaczęło zmierzchać. W dali nieco na zachód jakiś samolot zniżał lot w stronę lotniska na Ławicy. Powietrze wypełniała biała, niemal elektryczna mgła. Było parno, duszno i wilgotno. Ostatnie ptaki powracały do swych gniazd po całym dniu poszukiwania pożywienia. Na jednym z nich stał smukły, majestatyczny bocian. Przejeżdżając, szef odniósł wrażenie, jakby ptak niczym wieża kontrolna dał mu pozwolenia na start. Mocniej wcisnął gaz i wrzucił szósty bieg. Szara nitka asfaltu jak film przesuwiała się pod nimi. Ruch był niewielki, ostatnie pojazdy leniwie zjeżdżały do przydomowych garaży, wioząc z powrotem spracowanych, spoconych mężczyzn i ambitne kobiety pracy, aby kolejny raz odpoczęli po całym dziele, które dziś wykonali...

Gdy mijali miasteczko Kościan, szef wyjął telefon i włączył głośnik - zestaw głośnomówiący. - Słuchaj, mijamy właśnie dopiero Kościan, jest trochę ruch na drodze, zamierzamy jechać piątką na Wrocław, a potem polecimy autostradą A4 na Katowice i dalej przez Kraków na Bochnię. Gdyby coś się działo w biurze, daj znać - tłumaczył coś cierpliwie komuś z drugiej strony. - Tak, mamy wszystko, policja nas monitoruje, w razie czego zostać na noc i miej przygotowanego mercedesa na wszelki wypadek. Póki co jest czysto - odpowiedział na jakieś zadane z tamtej strony kabla pytanie. - Tak, wziąłem Mirka, jakby co to wezmę kogoś z Wrocka jeszcze po drodze. Nie, nie wiem, o co chodzi, policja nic nie chciała przez telefon, wiesz, naoglądali się kryminalistów, a sprawa może być banalnie prosta...tak, wiem...no dobra, to tyle na razie - rozłączył się i przyspieszył. - Słuchaj Mirek, przeglądaj jeszcze resztę tych gazet, trzeba było wszystko przewertować, trochę żeśmy schrzanili - pracownik posłusznie sięgnął na tylne siedzenie, gdzie trzymali podręczny bagaż i wyjął sporej wielkości aktówkę. Niebo zasnuły ciemne, gradowe chmury. Po kilku minutach na maskę auta spadać poczęły pierwsze blade kule, odbijając się i skacząc jak ping-pong. Wokoło jechali ludzie, ze wszystkich stron, zewsząd, wracając do domów, aby zdążyć na mecz, na ulubiony serial, na kolację, czasem może przy świecach. Rolls spisywał się świetnie, mimo, że nie był świe-

żej młodości. Zakręty, estakady, wiadukty, tunele - wszystko to mijało jak młodość, która minęła niepostrzeżenie, nie wiadomo kiedy i jak, jak mija przedwiośnie, albo piątkowa impreza w socrealistycznie urządzonej klubie w Nowej Hucie przy placu Centralnym. Wydawało się, jakby coś z innej rzeczywistości próbowało przemówić ludziom, którzy pogrążeni w wiecznym kole dążeń, pragnień i niespełnienia, próbowali wydostać się z tego reinkarnacyjnego ronda obłądu, jaki gotował wszystkim dwudziesty pierwszy już wiek...

Kiedy przez główną bramę Szpitala im. Dra Józefa Babińskiego w podkrakowskim Kobierzynie wjechała karetka pogotowia ratunkowego, już zmierzchało. Ochroniarz natychmiast otworzył szlaban. Pogotowie objechało rondo, wysadzone różami, jak w Alei Róż w Nowej Hucie, minęło budynki administracji, teatru i biblioteki i skierowało się na Izbę Przyjęć. Tam kierowca sprawnie zaparkował. Po chwili z samochodu wyprowadzono dwóch mężczyzn, jeden na oko trzydziestolatek, drugi około pięćdziesiątki. Poprowadzono ich na korytarz i kazano poczekać. Lekarz z karetki podszedł do dyżurki i przekazał dokumenty - raport policji z pierwszego kontaktu, wyniki badań na ostrym w Łańcucie i dowody osobiste. - Są bez kontaktu, źle zorientowani, pobudzeni psychoruchowo i w śalacie słownej. Poza tym mają średni stopień amnezji następczej - mówił do okienka, a dyżurna wszystko notowała, zakładając karty leczenia szpitalnego. Potem poproszono najpierw starszego do gabinetu lekarza. Kiedy wszedł oczom jego ukazał się straszny widok. Mężczyzna był jak po przejściu tornado - brudny, nieuczesany, z tygodniowym zarostem i podartych spodniach dżinsowych. Próby nawiązania logicznego kontaktu spełzły na niczym - mężczyzna nie wiedział, jaka jest data i gdzie się aktualnie znajduje. Powtarzał tylko, że "widzi nadjeżdżający pociąg", "goniących go ludzi", a potem relacjonował zupełnie od rzeczy. Mówił o srebrnej mgle, o piaskowej drodze za lasem koło Opola, powtarzał też ciągle "ratujcie Marka, ratujcie Marka, on tam nadal jest...on tam został". Lekarz zmierzył ciśnienie - było bardzo wysokie, podobnie puls. Parametry życiowe jeszcze mieściły się w normie, ale cukier był znacznie obniżony, jak po wielodniowej głodówce. Pacjent otrzymał zastrzyk z silnego leku uspokajającego, po czym wyprowadzono go w asyście sanitariuszy na oddział męski 6A. W międzyczasie do gabinetu poproszono młodszego pacjenta, który był lepszy, jednak zapytany o datę, powtarzał w kółko, że "jest na pewno rok 1907", a na pytanie, gdzie się znajduje mówił również o burzy, świetlistej mgle, wszczepionym mu jakimś chipie. Pytany o powody ucieczki z Tworek, odpowiedział, że "chciał ratować towarzyszy", ale zdołał tylko jednego. Najtrudniejsze jednak było to, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy z faktu, że przywieziono go do legendarnego szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych w słynnym Kobierzynie. "Jestem tam...tam jest przejście...zbadajcie to...on tam został...on tam..." - po chwili zadziałał podany w zastrzyku dożylnym haloperidol i pacjenta podobnie jak przed chwilą Żuławskiego odprowadzono na oddział 6A. Wokół się ściemniało, chmury pędziły jak obłąkane przez wieczorne niebo, a drzewa w parku pociemniały. Już nie zieleń, a ciemna toń podmorska, w której czają się potwory i piękne rusalki, ukrywała kształty rzeczy i osób. Kilku pacjentów, których spotkali po drodze na 6A, uśmiechnęło się znacząco - o, nowy pacjent, no to będzie ubaw. Zza nieboskłonu wyjrzała pierwsza gwiazda, może to zresztą był jakiś sztuczny satelita, albo międzynarodowa stacja kosmiczna. Szedł w założonym na Izbie kaftanie, co motywowano "silnym wzburzeniem emocjonalnym" i "zachowaniem zdeorganizowanym". Drzewa, podobnie jak włączane właśnie o zmierzchu latarnie, zdawały się niemal salutować dziwnemu pochodowi. Wysoko w koronach drzew zaszumiło. Zerwał się przedwieczorny wiatr, podrzucając zeszłoroczne jeszcze liście i tumany pyłu przy ścieżce. Po chwili otworzyła się brama 6A. Były to solidne drzwi, z kratą, zamykane cały czas na mocny zamek, za którymi rozciągał się długi, zeszłowieczny korytarz. Za pacjentami zamknęły się wrota. Usłyszeli jeszcze trzask zasuwanego zamka, gwałtowny podmuch nadchodzącej wichury i wtedy, właśnie wtedy ze swojego gabinetu, który mieścił się obok dyżurki wyszedł doktor Walczyński, Krystian

Walczyński. Podszedł ze skupioną miną do nowych pacjentów. - Dzień dobry - rzekł ciepło. - Jestem ordynatorem na oddziale. Będę się panami zajmował. Po czym dodał: - Mamy czas. Mamy bardzo dużo czasu...

W tym samym czasie, kiedy na oddział 6A szpitala w Kobierzynie, położonego w urokliwym parku wśród wiekowych drzew, przyjmowano nowych pacjentów, przywiezionych przez pogotowie ratunkowe z okolic Łańcuta, szef "Sekretcy&Spółka" mijali rolls-roycem właśnie opłotki Wrocławia. - To gdzieś na Dolnym Śląsku - mówił bardziej do siebie niż do Mirka detektyw - są te kliniki neurologiczne, gdzie jest zatrudniony Żuławski. - Jedna znajduje się niedaleko Wrocka - dopowiedział Mirek i zaraz zmienił temat. - Szefie, jest tu jeszcze coś. Po tym drugim artykule z "Gońca", w lipcowym numerze "Gazety Opolskiej" podpisujący się stale pseudonimem "a.a." pisze, że odnaleziono na głównej ulicy miasta jednego z trzech "przebierańców". Może chodzi o tego trzeciego, o Marka? - Piszą coś więcej? - Tak, autor anonimowy relacjonuje, że w tydzień po drugiej wizycie przebierańców, na promenadzie wiodącej ku starówce ówczesna policja zatrzymała dziwnie zachowującego się mężczyznę. Przedstawił się właśnie jako Marek. Kiedy go przeszukano, okazało się, że posiada dowód osobisty z tymi samymi personaliami. Co więcej, dowód był wystawiony w roku...1987, podane są te same dane adresowe, a policję zdziwiło to, że dowód tożsamości zrobiony był - jak to określili - z nieznanego materiału. - Co dalej? - szef zredukował bieg i zwolnił, wjeżdżając na stację paliw Orlen. - Niewiele. Na przesłuchaniu powiedział, że ostatnią rzeczą, jaką pamięta jest ciemny las nieopodal Opola i dziwna, przezroczysta mgła, po czym krajobraz się całkowicie zmienił. Kiedy wyjechali we trójkę z lasu, otoczenie było zupełnie inne. Potwierdził zeznania świadków, którzy opisywali ucieczkę przed pociągiem i pogoń za nimi. Potem nie pamięta już nic. Nie wie, jak się znalazł na ulicy, ani gdzie są pozostali, jak to oni nazywają, "przebierańcy". Policja uznała go za niespełna rozumu i odesłała do zakładu dla obłąkanych. - Podano adres tego zakładu? - Właśnie nie. Piszą, że mężczyzna całkowicie postradał resztki zmysłów. Dalszy los jest nieznan. - Myślisz, że to zbieg okoliczności? - Nie sądzę. Przecież nadal nie wiemy, gdzie jest Marek. - Może zaginął, jak wielu ludzi. Czasem odnajdują się po latach. - Tak, ale skoro wzywa nas policja rzeszowska, to wszystko zdaje się dziwne i coraz bardziej niejasne. - A jeśli coś znaleźli, jakiś trop? - pytał sam siebie szef, tankując do pełna i odkładając końcówkę dystrybutora. - Może ich odnaleźli? - No dobra, ale czemu akurat tam? Przecież cała trójka znikła w okolicy Opola... - pytanie zawisło w powietrzu, jak zapach wczesnej wiosny na wsi. - Tego dowiemy się na miejscu, miejmy nadzieję - Mirek zakręcił korek wlewu do baku i poszedł zapłacić kartą flotową. - Kupić coś jeszcze? - Skończyły mi się fajki, kup ze dwie paczki. Kiedy Mirek wchodził do sklepu, szef o czymś pomyślał. Przez chwilę stał nieruchomo, lecz opanował się, skupił i usiadł za kierownicę. Po chwili, kiedy zakupy zostały zrobione, mężczyźni popędzili w stronę obwodnicy, gdzie był wjazd na A4. Burza nadal krążyła z wolna, niczym krew w żyłach anemika. Przed nimi rozciągała się długa, nieograniczona przestrzeń. Ustawił tempomat na 140 i poprawił ustawienie fotela. Kątem oka zauważył, że pracownik zasnął. Postanowił więcej nie myśleć o niczym. Znikający pod kołami asfalt działał uspokajająco. Ostatnie dni były nerwowe. Takiej sprawy jego biuro jeszcze nie prowadziło...

W momencie, kiedy szef biura detektywistycznego w towarzystwie pracownika o imieniu Mirek, włączali się do ruchu na obwodnicy A4 zaraz za Wrocławiem, w Szpitalu im. Babińskiego w Kobierzynie przyjmowano dwóch nowych pacjentów. Byli bardzo niespokojni. Nerwowo rozglądali się na boki, jak gdyby obawiali się, że z niespodziewanej strony nadejdzie decydujący cios. W gorszym stanie był Żuławski, który powtarzał co chwila "ratujcie Marka...on tam jest...on został...trzeba tam pojechać", a młodszy

mówił do siebie. Najpierw zajęto się Żuławskim, podczas gdy R. siedział na korytarzu. Na ścianie wisiały prace malarskie pacjentów, przeważnie z wykrzywionymi głowami, potrojonymi twarzami i widomym obłędem czającym się w oczach, jak ryba piła na dnie oceanu. Obok, zaraz nad R., wisiał grafik dyżurów na oddziale, podane były najważniejsze informacje o instytucjach zdrowia psychicznego na terenie Małopolski i obiadowe menu, inne każdego dnia. Walczyński, który stwierdził, że mają bardzo dużo czasu, poprosił starszego do gabinetu. Jako lekarz, tyle, że neurochirurg powinien był zdawać sobie sprawę z tego, dokąd o przywieziono. Jednak nie zdawał. Sądził, że zesłano go do obozu pracy do jakiegoś byłego, ponemieckiego lagru za karę. "To moja wina...rozstaliśmy się uciekając przed tymi ludźmi...biegłem...szedłem...nie szedłem..." - Walczyński, Krystian Walczyński dwoił się i troił, żeby cokolwiek zrozumieć. - On..on..nie wróci...ja to wiem...czuję...straszne, straszne...bo po ten chip...on jest nosicielem tych fenomenów...- bełkotał półsłówkami, które jednak Walczyński skrupulatnie notował. - Kto nie wróci? - spytał. - Marek, mój najlepszy...no tak przyjaciel...o ich poznaje się...w bogactwie, biedzie...wszędzie...nie pomogliśmy mu...on tam czeka...- Mówi Pan o zaginionym towarzyszu podróżny na Dolny Śląsk - ordynator znał już historię telefonując do Poznania, potem Tworek, wreszcie miał przecież całą dokumentację z policji łańcuckiej. - Tak, on czeka... - Policja przeszukuje tamten rejon. Pamięta pan, gdzie to wszystko się zaczęło? - Nic nie wiem...nie pamiętam...o Boże, to moja wina...po co ja...jedźcie tam, może znowu się otworzy...ten las dobrze wiem, co to za miejsce...wiem... - szeptał niemal na ucho Walczyńskiemu, który zakładał kartę pobytu w szpitalu, międzyczasie zmierzył ciśnienie, puls, poziom cukru i wstrzyknął Żuławskiemu solidną dawkę relanium prosto w żyłę. - Musi...musicie..jedźcie tam...tam się dzieją straszne rzeczy... - powiedział neurochirurg-parapsycholog i wtedy zaczął nieznacznie ziewać, potem kleić poczęły się powieki, wreszcie zamilkł uspokojony, choć na chwilę doznając ulgi. Kiedy Walczyński to zobaczył, zawołał pielęgniarkę, który akurat rozdawał kolację na parterze. - Zaprowadźcie go do jego sali. Sen, przebrać w pidżamę, gorąca kąpiel, separotka nr 9. W razie pobudzenia pasy bez zgody pacjenta. - ordynator niejedno widział i wiedział, jak podstępna może być psychoza, zwłaszcza bez przyczyn somatycznych. Sanitariusz pomógł Żuławskiemu wstać i swymi potężnymi barkami prowadził przez liczne korytarze kończące się często awaryjnymi drzwiami ku separatce nr 9. Tam czekało już gotowe łóżko, sala była przewietrzona, obok stał stolik nocny, świeciła się blada, słaba żarówka, która pewnie miała z kilka dekad i nadal służyła. Żuławski zwałił się na posłanie i jeszcze zanim sanitariusz opuścił separatkę, wymamrotał coś pod nosem. W chwilę potem spał. Tymczasem doktor Krystian Walczyński, przystojny brunet o piwnych oczach i krótkich włosach poprosił do środka drugiego z pacjentów. Gdy przekraczał próg, w dali gdzieś ponad horyzontem zjawiała się tęcza, a deszcz ustał. Pacjent usiadł na krześle, a Walczyński zaczął zakładać drugą kartę. Potem rozpoczął badanie. Na rutynowe pytanie o miejsce pacjent nie umiał powiedzieć. Kiedy lekarz spytał o aktualną datę, R. z uporem i wielką pewnością w głosie i dość chaotycznej gestykulacji odpowiedział. Kiedy Walczyński usłyszał odpowiedź, popatrzył pacjentowi głęboko w oczy i wyrzekł słowa, które odbiły się echem w wielkiej ciszy zanim zgasły. - Tak, ma pan rację. Właśnie jest rok 1907...

Komisariat policji w Łańcucie przy alei Mickiewicza przedstawiał się dość skromnie. Było krótko po 17-tej, kiedy na parkingu zaparkował rollsa, z którego wysiedli dwaj mężczyźni. Jeden, ten zza kierownicy zapalił papierosa i przez chwilę rozprostowywał kościec, nieco stłamszony wielogodzinną trasą przez Dolny Śląsk, Katowice i resztę Małopolski w kierunku na Bochnię i Brzesko, miasteczka słynące niegdyś z solidnej przemysłowej, obecnie nieco zapomniane. Kiedy spalił, zamknął auto i dał znak pracownikowi. Ruszyli do wejścia, a zaraz potem już prowadzono ich - "tak, wszyscy wiedzą, czekaliśmy" - do gabinetu komendanta. Wstał zza biurka z mahoniem, potrząsnął rękami obydwu panów i bez wstępów i ceregieli zaczął tłumaczyć. Otóż, obydwaj mężczyźni, poszukiwani na wniosek ordynatora z Poznania oraz policji dziś

rano się odnaleźli. Okoliczności, w jakich to się stało, są jednak niezbyt jasne. Co więcej, w poszukiwanym fiacie było ich tylko dwoje, a wyjechali z Poznania we trójkę. - Ten trzeci, nazywa się Marek Łopatowski, nadal uznawany jest za zaginionego. Ani widu, ani słyhu. Jakby się pod ziemię zapadł. Na przesłuchaniu obydwu panów nie dowiedzieliśmy się niczego. Obydwaj tylko powtarzali na przemian, że "trzeba go ratować". Dlatego nasza policja - kontynuował - postanowiła podzielić się dalszym śledztwem z biurem "Sekrety&Spółka". Udzielamy wam wszelkich pełnomocnictw, dostęp do sprzętu, a nawet psy gończe, łagodne jak baranek dobermany. Zabezpieczyliśmy materiał z monitoringów ze stacji benzynowych. Nie wiemy, co dalej, więc prosimy o pomoc.

Kiedy to wszystko mówił, szef wyjął z aktówki małe zawiniątko. Była to paczka formatu A4, a w środku zdobyte przez Mirka jakimś cudem dokumenty sprzed stu lat. Komendant przejrzał je, ale wzrok jego padł na wytłuszczony grubą, ówczesną czcionką drukarską tytuł: "Trzeci przebieraniec złapany. Jak policja pomaga mieszkańcom chronić się przed złoczyńcami?" - Skąd to macie? - głos komendanta był głuchy jak wysuszona studnia. - Z archiwum miejskiego w Opolu - padła krótka, dobitna odpowiedź. Komendant patrzył daleko przez okno. - No to, chyba już wiemy. Wiemy, że nic nie wiemy - dodał, a jego słowom zawtórował dźwięk dalekiego grzmotu, po czym niebo na pół rozdarła jasnobiała strzałka. Z pobliskiego słupa trakcyjnego zerwały się gawrony i odleciały w stronę chylącej się ku zachodowi gwieździe. Wszystko pociemniało, jak biała kartka, na którą ktoś wylał atrament. Nadchodziła noc...

W czasie, gdy na komendzie policji w Łąncucie komendant przedstawiał sprawę przybyszom z dalekiej północy, na oddziale 6A w podkrakowskim szpitalu dla obłąkanych trwała narada. W zamkniętej sali na parterze, w osławionym gabinecie doktora Walczyńskiego, który niejednego pacjenta postawił na obie nogi, zebrało się kilkusobowe grono fachowców od ludzkiej psyche. - Jak panowie wiecie, fakty są następujące: odnalezieni pod Łąncutem pacjenci są nadal, mimo naszych wysiłków, kompletnie bez kontaktu logicznego. - zaczął Walczyński. - Co przyjmują zapytał przybyły z pobliskiego oddziału lekarz, specjalizujący się w nietypowych przypadkach. - Obydwu ustawiliśmy na maksymalnej dawce risperidonu. - Od kiedy? - Odkąd przybyli, prawie od tygodnia. - Jakie prezentują obecnie spektrum objawowe? - Nasilone objawy produktywne, obniżona motywacja do psychoterapii, wpadają w sałatę, formalne i treściowe zaburzenia myślenia, zanik koncentracji, silne objawy uboczne, zaobserwowano także nietypowe dla diagnozy reakcje paradoksalne... - Co konkretnie? - Jeden z nich na wyższych dawkach przejawia pobudzenie, zwykle występujące na małych dawkach neuroleptyków atypowych. Momentami przejawia obniżenie świadomości, stupory i bezsensowność częściową. Drugi na początkowych dawkach prezentował nasilenie urojeń i omamów, dołączały też nietypowe halucynacje wzrokowe, zaburzenia postrzegania. Obydwaj mają wszystkie objawy osiowe według Bleurera, a także silną amnezję wsteczną. Pytani, gdzie byli, zanim skontrolowała ich policja, nie potrafią nic konkretnego powiedzieć. - Czy rozważano sejsmoterapię? - Myślimy o tym, ale zostawiamy to w razie, gdyby po kolejnych 2 tygodniach terapii nie wrócił podstawowy kontakt. - Jak wiemy, w przypadkach psychoz niewiadomego pochodzenia o mieszanej symptomatyce i lekoopornych, sejsmoterapia daje prawie tyle samo po jednej sesji co 2-tygodniowa farmakoterapia. Z drugiego kąta stołu odezwał się kolejny głos: - Czy przeprowadzano rezonans, tomografię, eeg? - Tak, i wszystkie badania są w normie, jedynie u R. występują okresowe nietypowe zapisy fal wolnych. - Pacjent Rafał wypowiadał urojenia prześladowcze dotyczące przeprowadzonej na nim neurochirurgicznej operacji, rzekomego wszczępienia mu chipa we Wrocławiu przez Żuławskiego. - Nie zwróciliśmy na to uwagi, traktujemy jako urojenie. - A jeśli pacjent mówi mimo to prawdę? - Sugeruje pan, że pacjent żyje z chipem? Doprawdy... - Jak wiemy, nie wszystko, co mówią pacjenci jest fikcją. Czy dokładnie oglądnięto obrazowanie za pomocą fMRI? - Brak zmian anatomicznych, półkule mózgowe bez

poszerzenia, zapis charakterystyczny dla wieku... - Proszę o powiększenie tego zapisu i przesłanie mi. - Oczywiście. - Panowie, teraz prosimy o luźne pomysły, co dalej. Z początku zaległa cisza. - A gdyby tak...gdyby tak obydwu pacjentów przebadać na wariografie? Metoda ta, choć bywa zawodna w przypadkach kryminalnych, w psychiatrii niesądowej mogłaby przynieść pewne owoce. W sali zaległa znacząca cisza. Wszyscy obrócili wzrok na prowadzącego spotkanie Walczyńskiego. - To jedno. Ale ja proponuję jeszcze coś innego...Gdyby tak pacjentów skonfrontować terenowo? Zawieźć ich w miejsce, gdzie się zjawili? Taka wizja lokalna? Kto jest za, proszę podnieść rękę. Naraz w sali w ogólnym skupieniu ukryty obserwator ujrzałby, jak po kolei prawe dłonie wszystkich obecnych unoszą się ku górze, jak gdyby chciały przebiwszy blade sufit, wznieść się ku niebom, ku wyżynom niebieskim, lecąc wciąż wyżej i wyżej, by objąć aprobatą los biednych pacjentów, wyblagać gdzieś najdalej jak się da miłosierdzie dla zagubionych dusz, serc i umysłów. Ujrzałby, jak zmienia się niepostrzeżenie atmosfera w gabinecie ordynatora oddziału 6A, coś jak ulga spływa na zmęczone twarze lekarzy, udręczone czymś nieokreślonym, jakąś szklaną watą, która otuliwszy szczelnie poaustriacki, zabytkowy budynek każdego poranka osiada miękko na mocno zielonej trawie, otula żywopłoty, obejmuje losy wszystkich martwych dusz z podkrakowskiego domu dla umarłych, niosąc im tak dawno niewidziane ukojenie, spokój i głęboki, kojący sen...

Gdyby przypadkowy, niespieszny przechodzień znalazł się tego popołudnia na opłotkach urokliwego Łańcuta, ujrzałby widok następujący: kilka radiowozów na włączonym sygnale stało obok pobocza, a między nimi kręcili się ubrani na jasnozielono ludzie. Z daleka nie dostrzegłby szczegółów - gdyby podszedł za blisko, straciłby z oczu całość tej sceny. Gdyby stanął w odpowiedniej odległości, usłyszałby urywane, krótkie hasła, rzucane niby od niechcienia, z zawodową rutyną przez jasnozielonych między sobą. Gdyby nagle obudziłby w sobie dawno nie spotykaną ciekawość, mógłby zabawić się w lokalnego dziennikarza i zrobić wywiad. Mógłby wyglądać mniej więcej tak. -...jeszcze tu...zmiierz wszystkie...ok, szukamy dalej...- Dzień dobry, panowie, co tutaj robicie? Jestem reporterem "Tygodnia w Łańcucie"... - To sprawa tajna. Nie wolno nam nic mówić. Takie mamy zarządzenia z góry. - Dobrze, a tak ogólnie? - Niestety, nawet ogólnikowo nie jestem w stanie nic powiedzieć. Mierzmy tutaj różne parametry geomantyczne, w tym promieniowanie gamma i natężenie pola elektromagnetycznego i oddziaływania z pobliskich sieci energetycznych. Tak zbyty, ów wolny przechodzień, nie poddałby się jednak tak łatwo i spróbował dowiedzieć się więcej bardziej bezpośrednio. Wtedy zauważyłby, że pośrodku tego cudaczno-dziwowiska, stoi dwóch zapiętych w białe pasy mężczyzn. Byli o coś pytani, wtedy podnosili ręce i wzruszali bezradnie ramionami, wyrzucając z siebie nic nie znaczące wyrazy, to znów chodzili w kółko, a ponaglani przez coraz to nowych ludzi, nerwowo przestępowali w miejscu, gdzie ich widać postawiono. Nagle zdało się, jakby zaszła widoma zmiana, albowiem jeden z mężczyzn coś krzyknął i znieruchomiał natychmiast, patrząc się w jakiś jeden punkt i zastygając w katatonicznej pozie. Wtem widać było, jak rzuca się całym ciałem przed siebie, biegnąc w kierunku przydrożnego lasu, a skonsternowani policjanci wraz z odzianymi w biel mężczyznami rzucili się w pogoń. Nad wysokimi drzewami zerwało się mnóstwo ptaków, zaszumiało jak na morskim nabrzeżu, powiał silny, porywisty wiatr, a na jeszcze dalszym horyzoncie, domkniętym przez neogotycką świątynię-katedrę pojawiły się ciemne, stalowe pióra chmur, potem ich poskręcane w esy-floresy ręce, do złudzenia przypominające jakiegoś wielkiego pterodaktyla zniżyły lot, osiadając najpierw na gotyckich wierzchołkach sosen, a potem pierwsze krople lipcowego deszczu, jedna za drugą, uderzały w bębny krzewów, perkusję traw i zarośli, za którymi znikł jeden z mężczyzn...

Pogoń znikła za krzewami łańcuckiego lasu. Wszyscy rzucili się - łącznie z niektórymi technikami - w pościg, lecz R. był szybszy. Raz po raz zmieniał kierunek ucieczki, przeskakiwał jary i małe wąwozy, zniknął za kolejno rozstępującymi się jak na balu drzewami. Policjanci ostrzegawczo oddali strzał w powietrze, ale nawet ten sygnał nie zmienił decyzji R. Jeszcze w II klasie liceum był najszybszy w biegu na 400 metrów, z czego teraz ochoczo korzystał.

Drugi z mężczyzn, nadal w kaftanie zaczął coś mówić. Początkowo bardzo cicho, pod nosem, potem głośniej i głośniej, aż jego mowa przeszła w krzyk, w którym ginęły poszczególne słowa, a zdania przypominały miazgę, jakiej w lesie nie brakowało. Podszedł jeden z tych, co byli w bieli i szybko zrobił Żuławskiemu zastrzyk z silnego środka uspokajającego. Chirurg w kilkanaście sekund stał się senny, apatyczny i przestał mówić do siebie. Tymczasem pogoń trwała w lesie. Był nieprawdopodobnie szybki. Oddalał się od peletonu z prędkością metra na pół minuty. Policjanci oddali ponownie ostrzegawcze strzały w powietrze, jednak pacjent nie odpuszczał. Biegł coraz szybciej, jak gnany niewidzialnymi sznurkami, które ktoś nad nim trzymał. Międzyczasie zdołał poluzować i uwolnić się od kaftana, który po chwili leżał na ścieżce. Minęło kolejne kilka minut. Zmęczeni stróże ładu i porządku jeden po drugim dawali za wygraną. Wkrótce stracili pacjenta z oczu, a ten jakby zapadł się pod ziemię. Kolejno odwracali się i wracali do pozostawionej grupy techników w uroczym lesie pod miasteczkiem Łańcut. Gdy przybyli karetka już zabrała Żuławskiego z powrotem do małopolskiej lecznicy. Plan się nie udał - niczego sensownego nie usłyszano od neurochirurga. Jeden szczegół wzbudził podejrzenia ekipy technicznej - wokół lasu i wśród drzew panowały bardzo wysokie parametry różnych sił przyrody, zwłaszcza promieniowanie elektromagnetyczne. Wokół nie było linii elektrycznych, ani innych potencjalnych źródeł tych zjawisk. Geodeci odkryli wysoki poziom geomantyczny, który nie wiadomo, skąd pochodził. - To jak szukanie igły - miał stwierdzić kierownik techniczny. - Nie wiadomo, co tu się dzieje, aparatura pokazuje maksymalne parametry, a potem wariuje - dodał. Nikt go jednak nie słuchał. Jeden z wyżej postawionych policjantów miał teraz uciekiniera na głowie. Wściekli postawili wkrótce całą okolicę na nogi. - Proszę o przysłanie helikoptera i wypuszczenie dronów wokół Łańcuta - meldował komuś szef lokalnej policji. Tak się też stało - wkrótce nad lasem pojawiły się dwa wyposażone w silne kamery termowizyjne helikoptery, które zniżały maksymalnie lot. Po kilku godzinach jednak zaprzestano akcji, bo zbliżał się zmrok. Jedyłą nadzieją było to, że pacjent w tak ciężkim stanie popełni jakiś błąd albo sam zgłosi się na komisariat, głodny i bez dachu. Wysokie drzewa, gdyby mogły patrzeć, ujrzałyby jednak dziwną, daleką poświatę, coś na kształt dysku, który unosił się nisko nad ziemią, kręcił w kółko, mienił całą paletą kolorów, to znów błyszczał na srebrno, to ukazywał wszystkie barwy tęczy, a między nimi prezentował jakieś oku ludzkiemu nieznane kolory, jakby stopnie przejściowe między widzialnym a niewidzialnym, jak ćwierćtony w gamie muzycznej. Ponownie włączono lampy uliczne, ludzie poczęli z wolna zaszywać się w swoich domach i mieszkaniach, cichły krzyki uliczne, a gdyby to był wiek dziewiętnasty na ulice i place wyszliby latarnicy, by włączyć gazowe lampy, dające nastrój czegoś nieokreślonego, jak nagła góra lodowa na kursie kolizyjnym transatlantyku...

Kiedy zaaplikowano Żuławskiemu silny zastrzyk uspokajający, natychmiast poprowadzono go do ambulansu, który z włączonymi kogutami ruszył w kierunku Ul. Kobierzyńskiej pod Krakowem. Pacjent mimo środka na uspokojenie, przejawiał całkowitą dezorganizację wewnętrzną. Co jakiś czas mówił do siebie, zaczepiał lekarzy z karetki i wypowiadał urojenia prześladowcze. - ... on tam został...ratujcie...na zawsze został" - głos neurochirurga jakby próbował przebić nie tylko ściany ambulansu, ale chciał biec przez cały kosmos, wołając o ratunek. -...to on...on..on jest nosicielem tych fenomenów...po co ja to zrobiłem...po co...nie tak miało... - kompletna sałata słowna zastępowała niegdyś mocny i rozsądny głos nieszczęśliwe-

go pacjenta. Jechali szybko, kierowca omijał światła na skrzyżowaniach, pędził po torach tramwajowych, mijał wsie i miasteczka dawnej Galicji, o której tyle pisano. Było grubo po 20-tej, kiedy ambulans wiozący nieszczęśliwego chirurga, zajechał przed Izbę Przyjęć w podkrakowskim szpitalu dla nerwowo i psychicznie chorych. Kierowca zgasił silnik, naraz otworzyły się boczne drzwi i widać było, jak prowadzą Żuławskiego do wnętrza. Nie stawiał biernego oporu, działał jeszcze zastrzyk po tym, jak drugi z pacjentów dał nogę. Zaraz ktoś wyszedł z bocznych drzwi i wręczył pielęgniarzom jakiś dokument, po chwili sanitariusze, którzy niejednego usiłowali pokonać, poprowadzili Żuławskiego z powrotem na 6A, gdzie urzędował Walczyński. Podczas drogi z Izby na oddział, mijali drzewa, już wiekowe, malutki sklepik spożywczy, potem na przełaj przeszli obok innych oddziałów, z których ów był najlepszy. Podeszli pod solidne, okute i zabezpieczone kratami drzwi. Na korytarzu czekał już Walczyński, jak zawsze w drogim garniturze, krawacie od Pierre Jardin i butach za 300 złotych.

- ...nie pójde dalej...ja chcę wracać...on tam został - urojenia i omamy całkowicie przesłoniły świat wewnętrzny neurochirurga, który nie wiedział już, co jest, od kiedy tu jest i ile tu pozostanie.

Wtedy z gabinetu ordynatora, wyszedł Walczyński, który podszedł do pacjenta i popatrzył mu głęboko w oczy, ale one były puste. Pacjent został odprowadzony do sali chorych, a właściwie izolatki, aby niepotrzebne bodźce jak najdalej odesłać do tła. Nic nie rozumiał już Żuławski, poza tym, że przywieziono go na szpitala dla biednych umysłów w bardzo ciężkim stanie...

Tymczasem w lesie, w którym robiono pomiary naukowe, R. starał się znaleźć jakąś ścieżkę, aby nie zabił. Policja nadal zniżała lot helikopterów, ale wokół nie było żywego ducha. Las szumiał swoją melodią, a poświata pomiędzy wieczornych drzew nadal jaśniała jak samotna gwiazda na zachodzącym wraz ze słońcem niebie...

Koniec

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rafał Sulikowski, dodano 12.10.2023 14:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.